

Inżynier Franciszek Kuropatwiński

ZE WSPOMNIENIŃ MŁODOŚCI (1875 — 1893)

Szkic obyczajowo-wychowawczy.

I. Lata przedszkolne.

Urodziłem się na Podlasiu, w pamiętnym dla tej dzielnicy Polski roku 1875, roku oficjalnego skasowania Unji i intensywnego prześladowania wyznawców religii greckokatolickiej. Wieś Jabłonna Lacka, — gdzie ujrzał światło dzienne, — nazwana tak dla odróżnienia jej od opodal położonej Jabłonna-Ruskiej, leży w powiecie Sokołowskim, w kilku kilometrach od typowo-podlaskiej rzeki Buga. Same te przymiotniki: „lacka”, „ruska”, świadczą, że miejscowości te leżą na pograniczu etnograficznym, gdzie od wieków stykały się dwie narodowości. Właściwie mówiąc, to północno-wschodnia część powiatu Sokołowskiego należy do obszaru, zajętego przed wiekami przez zaginione plemię Jadźwingów, które tak dawało się we znaki Polakom w wiekach XII i XIII. Plemię to w wyniku długich i uporczywych wojen doszczętnie wyginęło, a na ich miejsce z okolicznych ziem, z zachodu i ze wschodu, napłynęła ludność polska i ruska. Pomieszanie się tych dwóch pobratymczych ludów słowiańskich wytworzyło typ Podlasiaka, który jednak nie jest zupełnie jednolitym ani fizycznie ani duchowo na całej przestrzeni ziemi, zwanej Podlasiem. Podlasiacy z północno-wschodniej części powiatu Sokołowskiego jako typ duchowy należą do „najoporniejszych”. „Opornymi”

nazywano tych unitów, którzy twardo się opierali przyjęciu narzuconej przez rząd rosyjski wiary prawosławnej.

Pamiętam z opowiadań mego ojca jeden jaskrawy epizod, charakteryzujący oporność sokołowskich unitów. W jednej z wiosek tamtejszych, gdzieś około Przeździatki, cała ludność została zapisana na prawosławje, a dla tem większego umocnienia w wierze nieprawomyślnych owieczek, została zbudowana na koszt rządu drewniana cerkiewka w stylu „istinno-ruskim” o pięciu charakterystycznych cebulkowatych kopułach, z dzwonnica i z ogrodzeniem na zielono pomalowanem. Odbyło się uroczyste poświęcenie przy asyście samego naczelnika Gołowińskiego, uwiecznionego przez Żeromskiego w jednej z jego wczesnych nowelek patriotycznych. Popi odprawili dziękczynne nabożeństwo, wygłoszone zostały odpowiednie kazania i przemówienia przedstawicieli władz. Przysłuchiwały się tym oracjom tylko figury oficjalne, z urzędu asystujące tej uroczystości, gdyż „oporna” ludność trzymała się zdaleka. Po wysłaniu okolicznościowych wiernopoddańczych depesz wszyscy uczestnicy tej uroczystości wreszcie się rozjechali. Pozornie nastąpiła cisza, ale skoro tylko gęsty mrok okrył ziemię we wsi i pobliskiej okolicy rozpoczął się ruch niezwykły. Jakby na umówiony znak liczne rzesze mężczyzn i kobiet, uzbrojone w siekiery, piły, bosaki i sznury pociągnęły w stronę nowozbudowanej cerkiewki. Przypuszczono energiczny atak: ze wszech stron rąbano, piłowano, rozciągano, wreszcie łamano. W kilka godzin — rzecz trudna do uwierzenia — cała cerkiewka przedstawiała kupę rumowiska, które z pośpiechem zaczęto usuwać i rozwozić po chałupach i opłotkach, a skoro tylko świt zaróżowił niebo, wnet na pusty plac wyjechało kilka pługów i zaorało ziemię na tem miejscu, gdzie jeszcze dzień przedtem stał pomnik przemocy nad umęczonym ludem podlaskim. Nazajutrz, gdy wieść o losie cerkiewki doszła do władz, zaczęły się dochodzenia, badania, wreszcie kary administracyjne. Dzielne jednak stanowisko ludności, która cała bez wyjątku brała udział w tym akcie samoobrony przed przemocą, gwałcającą

głęboko tkwiące uczucia religijne w sercach ludu podlaskiego, sprawiło to, że kary wypadły względnie niewielkie, gdyż rząd rosyjski zrozumiał, że całej tej sprawy nie można było wywlekać przed sąd, a należało załatwić w tempie przyspieszonym, t. zw. „porządkiem administracyjnym”.

Pamiętam z lat dzieciennych typ opornego unity Daniłę Iwaniuka. Chłop był dużego wzrostu, na twarzy zarosnięty czarnym tu i owdzie siwiejącym włosiem. Rysy miał wyraziste, jakby wyrzeźbione z jakiejś bryły ciemnego kamienia, którymi usiane są pola podlaskie. Ciemne, piwne, nieco skośne oczy i wystające kości policzkowe świadczyły, że Iwaniuk jako typ antropologiczny więcej był zbliżony do typu ruskiego, niż polskiego. Mówił po polsku, ale z tym swoistym podlaskim akcentem, który da się wprawnemu uchu łatwo wyróżnić z pośród licznych innych gwar polskich. W młodości za opór władzom, jako że mocno stał przy swojej katolicko-unickiej wierze, został Iwaniuk skazany na wygnanie do Rosji południowo-wschodniej. Tułał się tam przepędzany etapami po niezmiernych stepach dońskich, kubańskich, wreszcie na Kaukazie. Cierpiał nasz wygnaniec głód i chłód, poniewieriał nim każdy gorliwszy stupajka, ale za nic sobie ważył oporny unita te wszystkie fizyczne dolegliwości. Toć życie jego twarde było od dzieciństwa, a do ciężkiej pracy fizycznej przywykł tak, jak przywyka tylko chłop podlaski, pracujący na chudych przeważnie piaszczystych ziemiach. Największą zgryzotą i cierpieniami wygnania były dla Iwaniuka brak kościoła i księdza. On, wygnany za wiarę ojców swoich, do tej wiary był fanatycznie przywiązany, a więc najsroższą dla niego karą było pozbawienie go pociech religijnych. Były to jeszcze te czasy, kiedy to kościół katolicki w Rosji, poza stolicami, jak Petersburg, Moskwa, Kijów, był wielką rzadkością, to też nic dziwnego, że Iwaniuk w ciągu długich 20 lat tułaczki po obszernych przestrzeniach południowo-wschodniej Rosji ani razu nie mógł być w kościele. Ale wreszcie skończyły się długie lata niewoli. Iwaniuk zaszył w ubranie ciężką pracą zarobione pieniądze i ruszył w podróż do

Polski. Szedł piechotą, wytrwale, w ciągu dni, tygodni, miesięcy, a skoro tylko stanął na ziemi rodzinnej, udał się do najbliższego kościoła. Była akurat niedziela. Kiedy zagrały niesłyszane od tak dawna organy, Iwaniuk padł krzyżem na ziemię i zaszlochał jak małe dziecko. Dwadzieścia lat nie słyszał organów w kościele, on, pobożny, prześladowany za wiarę chłop podlaski! Aż wreszcie doczekał się tej łaski, i oto na ziemi polskiej znów ucho jego napawa się pobożnymi dźwiękami. Jak dziś pamiętam to proste opowiadanie bohaterskiego unity, te jego łzy w oczach, kiedy spowiadał się przed ojcem moim z przeżytych wrażeń. Miałem wtedy jakieś 5 czy 6 lat. Niezupełnie zdawałem sobie wtedy sprawę z głębokich wstrząsów duszy Iwaniuka, ale cały ton jego opowiadania, załamany głos i łzy w oczach zrobiły wielkie na mnie wrażenie.

Gdym miał lat 4, rodzice moi przenieśli się na stały pobyt z pow. Sokołowskiego do wsi Łazy, o 2 klm. od powiatowego miasta Łukowa. Ludność okoliczna składała się z rdzennych mazurów, a w dwóch najbliższych wioskach z kolonistów niemieckich, którzy się rozsiedli na rozparcelowanych gruntach obszernych dóbr, należących niegdyś do Nowowiejskich. Sprawy unickie tylko w wyjątkowych razach zaczęły o tę połąć ziemi, położonej na południowachód od rzeki Krzny, wpadającej do Buga. Ludność okolic Łukowa, pochodząca z dawnych wychodźców z pobliskiego Mazowsza, była czysto polska. Wyznawcy religii grecko-katolickiej należeli do nielicznych wyjątków; zatargi na tle wyznaniowym z przedstawicielami władz rosyjskich, jeżeli nawet trafiały się od czasu do czasu, to jednak nie miały one takiego tragicznego charakteru, jak na wschodzie Podlasia. Rzadkie konflikty wyznaniowe nie były pozbawione nawet pewnego swoistego humoru. Charakterystyczną pod tym względem była historia z p. Tr., dobrym moim znajomym z czasów studjów akademickich. Miał on nieszczęście, że rodzice jego, mieszkający wówczas w powiecie Białskim, w głuchoj leśnej osadzie, zdala od kościoła łacińskiego, ochrztili swoje nowonarodzone dziecko

w poblizkiej cerkiewce unickiej. Było to jeszcze na kilka lat przed ostatniem naszym powstaniem, w czasach, kiedy ludność obydwu obrządków katolickich, ruskiego i łacińskiego, żyła na Podlasiu w przykładowej zgodzie; kiedy to ksiądz łaciński, gdy tego zaszła potrzeba, odprawiał sakramenty według swego obrządku w cerkiewce unickiej, a pop unicki w kościele łacińskim śpiewał swoje „Hospody pomyluj”. To też chrzest małego Hípicia (takie było imię owego urzędnika) w cerkiewce unickiej nie był jeszcze dowodem w mniemaniu ówczesnej opinji, że dziecię ma być koniecznie wychowywane w zasadach religji według obrządku unickiego. Zresztą sama ta różnica po Unji Brzeskiej w istocie już prawie nie istniała. Ludność to doskonale rozumiała i nie przywiązywała wielkiej wagi do różnic zewnętrznych, ba, nawet pewne innowacje w obrządkach grecko-katolickich, jak nprz. wprowadzenie organów, używanie dzwonek przy liturgji stopniowo stosowane w cerkiewkach unickich na Podlasiu, ludność ta witała życzliwie i przeciwnie stawiała pewien bierny opór, gdy następnie duchowieństwo unickie, pod wpływem presji czynników rządowych, owe innowacje, zbliżające do siebie zewnętrznem podobieństwem obydwu wyznania, zaczęło znosić. Opowiadano na tem tle powstałe różne ówczesne anegdoty, których tu z braku miejsca przytaczać nie będę, a wróć do historii p. Hipolita. Owóz tedy dom jego ojca — nadleśnego w lasach Potockich — był czysto polski o pięknych patryjotycznych tradycjach, i nikt wtedy nie przypuszczał, żeby ochrzcenie dziecka w poblizkiej cerkwi unickiej mogło stać się powodem jakichś przykrych komplikacji. P. Hipolit po ukończeniu 5-u klas ówczesnego^o progimnazjum w Białej wstąpił do Urzędu Powiatowego w Łukowie, tam się ożenił z córką poblizkiego obywatela ziemskiego, doczekał się trojga dzieci, i zdawało się nic już nie zakłóci pocziwego żywota tej zacnej rodziny polskiej. Rozumie się, że i ślub i chrzciny odbyły się w parafjalnym kościele łukowskim. Było to już z dobrych kilkanaście lat po pamiętnym dla Podlasia roku 1875. Nastaly ciężkie czasy dla Kon-

gresówki, czasy Hurki i Apuchtina. Represje i dążności rusyfikacyjne rządu rosyjskiego potęgowały się z każdym rokiem. Zabrano się przede wszystkim do b. unitów. Wszyscy b. unicy, ponieważ Unja na całej przestrzeni Imperjum Rosyjskiego została skasowana, byli przepisani w urzędowych księgach ludności na prawosławnych. Ówczesne ustawy rosyjskie głosiły, że poddany rosyjski nie miał prawa zmieniać wyznania prawosławnego na jakieś inne a przeto wszyscy b. unicy z konieczności oficjalnie musieli być prawosławnymi. Nadzór nad nimi był bardzo ścisły. Ksiądz katolicki, któryby się ośmielił udzielić sakramentów b. unicy, podlegał surowej karze, aż do zesłania na Sybir włącznie i to bez sądu, a uproszczonym „porządkiem administracyjnym”. Co się tyczy p. Hipolita to nikt w Łukowie o jego chrzcie w cerkiewce nie wiedział i wszyscy uważali go za katolika łacińskiego obrządku, za jakiego sam się on uważał i jakim rzeczywiście był. Ale władze rosyjskie czuwały. Chodziło przecież o jak najprędze zrusyfikowanie „Kraju Prywiślińskiego” — tak oficjalnie nazywano Kongresówkę. Na pierwszy ogień szło Podlasie. Rozumie się, środki stosowane przez rząd rosyjski chybiały zupełnie celu. Przeciwnie, nigdy Podlasie w tak szybkim tempie nie polonizowało się, jak właśnie w okresie ostrego prześladowania unitów. Prosty lud wiejski, mało uświadomiony narodowościowo, jest zawsze i wszędzie bardzo przywiązany do wiary ojców swoich. Gdy skasowano Unję, a cerkwie unickie przerobiono na prawosławne, ludność gwałtownie zaczęła się cisnąć do kościołów łacińskich. Żeby zatrzeć ślady swego pochodzenia, że tak powiem unickiego, ludność chętnie uczyła się języka polskiego i udawała wobec władz ludność polską obrządku łacińskiego, która miała pozostawioną swobodę wyznania. Nie chcąc narażać okolicznych księży łacińskich, którzy za wypowiedanie unity, za ślub mu udzielony, za chrzest jego dziecka ulegali srogim represjom, ludność odprawiała dalekie pielgrzymki do okolic, gdzie nadzór był słabszy, i tam zaspakajała swoje potrzeby religijne. Słynne były wyprawy unitów nawet za kordon graniczny, do

Galicji dla zawarcia ślubu lub ochrzczenia dziecka. Wszystko to sprzyjało raczej szybszemu polonizowaniu ludności unickiej, która z pochodzenia była ludnością przeważnie ruską.

Otóż, pomimo tych nikłych wyników rusyfikacyjnych. rząd za wszelką cenę starał się nadać wschodniej części Kongresówki wygląd chociażby tylko pozornie kraju rosyjskiego. Więc zaczęło się budowanie gmachów publicznych w stylu rosyjskim. Ba nawet budki dróżnicze na kolejach stawiano z okrągłaków na sposób wielkoruski. Ale przede wszystkim budowano cerkwie, budowano je z ogromnym nakładem za rządowe przede wszystkim pieniądze, gdyż pomimo usilnych zabiegów, a nawet wyraźnej presji ludność na cerkwie prawosławne nie chciała dawać składek 'dobrowolnych'. Wybudowano cerkwie i w Łukowie, pomimo że poza nielicznymi urzędnikami-rosjanami ludności prawosławnej wcale tam nie było. Ale przy cerkwi był osadzony paroch prawosławny „otiec” Karasiew i djak, którzy za swój obowiązek wobec państwa uważali przysparzanie owieczek kościołowi wojującemu tudzież śledzenie, czy wszyscy prawosławni wiernie spełniają przepisy swego kościoła. Jakoś doszło do wiadomości tych gorliwych sług cara i ojczyzny prawosławnej, że miejscowy urzędnik p. Hipolit T. niewłaściwie uważany jest za katolika. Nasi pochopni rycerze wojującego prawosławia zrobili odpowiedni donos do miejscowego naczelnika powiatu, którego władza była znacznie rozleglejszą od współczesnego nam starosty. Miejscowy ówczesny naczelnik p. F., człowiek ludzki, który zresztą osobiście lubił p. Tr., jako sumiennego i zdolnego urzędnika, i z którym był w stosunkach towarzyskich, otrzymawszy donos, porozumiał się z p. Tr. i oświadczył mu, że jako naczelnik powiatu nie może donosu pozostawić bez uwagi i musi w jego papierach służbowych zrobić odpowiednią adnotację o rzeczywistym jego wyznaniu prawosławnem, ale jako człowiek liberalny rozumie drażliwe położenie p. Tr. i nie będzie robił nacisku na gorliwe spełnianie przez niego obrządków tego wyznania. Dla ścisłości trzeba

tu zaznaczyć, że na terytorjum dawnego Cesarstwa Rosyjskiego do obowiązków służbowych urzędników państwowych wyznania prawosławnego, należało spełnianie przepisów religijnych tego wyznania. Naprzykład, byli oni obowiązani chodzić do spowiedzi i komunji św. w czasie wielkanocnym, czyli, jak to tam wtedy mówiono „gowiet”. Gorliwsi zwierzchnicy wymagali nawet świadectw od popów, że ten obrządek przez podkomendnych im urzędników był ściśle wypełniany. P. F. tego nie wymagał, ale też ten brak jego gorliwości w przestrzeganiu przepisów służby państwowej z nawiązką pokrywał otiec Karasiew. Gdy po pewnym czasie spostrzegł ów gorliwy sługa ołtarza, że p. Tr., pomimo jego donosu, w dalszym ciągu w cerkwi się nie zjawia, publicznie w jednym z kazań niedzielnych dał wyraz swemu niezadowoleniu, przyczem dostało się nie tylko p. Tr., ale i jego zwierzchnikowi p. F. Kto zna niskie stanowisko społeczne duchowieństwa prawosławnego w Rosji nie tylko obecnie, ale i za dawnych czasów, ten może się zdziwi, jak to tak prosty pop ośmieliłby się piętnować publicznie postępowanie takiego dygnitarza, jakim był w owe czasy sam naczelnik powiatu. Ale inne było stanowisko popów w Rosji, a inne w Kongresówce. Na naszym gruncie pop był przede wszystkim pierwszym szermierzem w osiągnięciu celu polityki wewnętrznej ówczesnej Rosji, a tym celem było w stosunku do niepaństwowych narodowości „objednienije”, czyli zniwelowanie wszystkich poddanych w jednym wyznaniu i narodowości. To też wystąpienie popa Karasiewa nie mogło być zlekceważone, albowiem w następstwie mogło pociągnąć za sobą nawet dymisję samego p. naczelnika. Zaczęły się tedy długie dyplomatyczne zabiegi miejscowych zainteresowanych czynników, żeby rozszalonego popa ugłaskać, ale ten był nieugięty. Prawo było za nim, gdyż jakkolwiek nie było wyraźnego przepisu, że urzędnik wyznania prawosławnego musiał co niedziela być obecnym w cerkwi, to jednak był wyraźny przepis o odbywaniu przez urzędników dorocznego „gowienja”, i na tym punkcie „otiec” Karasiew był nieustępliwy. Po długich kło-

potach i staraniach wyjście się znalazło z tej przykrewj sytuacji w ten sposób, że p. Tr. wyszukał w odległej parafji liberalnego popa, który za 10 rubli srebrem wystawiał p. Tr. świadectwo o spełnieniu „gowienja“ zgodnie ze wszelkimi przepisami kościoła prawosławnego. Rozumie się, że gorliwy katolik, jakim był p. Tr., zawsze znalazł sposoby przy swoich stosunkach, nie narażając swego spowiednika katolickiego na represje policyjne, spełnić potrzebę swego sumienia i odbyć spowiedź wielkanocną podług obrządku łacińskiego. Oficjalnie p. Tr. od czasu donosu Karasiewa był uważany za prawosławnego. Czuł ten gorliwy agent policyjny kościoła prawosławnego, że coś z tem świadectwem o „gowienji“ p. Tr. jest nie w porządku, ale formalnie nic więcej zrobić nie mógł ponad tajne donosy o małej gorliwości w wierze prawosławnej przedstawicieli władzy państwowej w Łukowie. Wkrótce po tych wypadkach p. Tr. został na skutek doskonałej opinji, jaką się cieszył u swych przełożonych, przeniesiony do Warszawy na wyższą posadę, a w kilka lat potem przejechał na bardzo już, jak na polaka, wysokie stanowisko do Petersburga. Tam panował wtedy wielki liberalizm w stosunku do spełniania przez urzędników wyznania prawosławnego obrządków kościelnych i p. Tr. pozostawiono w spokoju. Spokój ten jednak został naruszony po jego śmierci. W końcu pierwszego dziesiątka lat bieżącego stulecia p. Tr. umarł nagle, i gdy leżał już w trumnie we własnem mieszkaniu z obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej w złożonych pobożnie rękach, nagle drzwi się otworzyły i wchodzi całe towarzystwo wyższych dygnitarzy rosjan w asyście duchownych prawosławnych, których nikt rozumie się nie prosił, ale którzy także chcieli coś zarobić z okazji śmierci p. Tr. Najstarszy z tych duchownych, zauważywszy katolicki obrazek, uznał to za przeszkodę do odprawienia przez siebie „panichidy“ (nabożeństwa za zmarłych) i bez ceremonji przeszkodę tę usunął, wyjmując obrazek z rąk nieboszczyka ku wielkiemu przerażeniu zrozpaczonej wdowy. Ta jednak bezceremonjalność popa oburzyła nawet jednego z obecnych

dygnitarzy państwowych rosjan i ten, ofuknąwszy sprawcę słowami: „nu, batuszka, dziełaj swojo dzieło, a pokojnika nie troń”, z powrotem wsadził obrazek w martwe ręce p. Tr. By nie dopuścić do pochowania męża na cmentarzu prawosławnym dzielna pani Tr.-wa wywiozła ciało nieboszczyka do Łukowa i tam, po uprzednim porozumieniu się z duchowieństwem katolickim, pochowała zwłoki męża na cmentarzu katolickim. Było to już zresztą po r. 1905, a więc w czasach, kiedy tolerancja religijna w państwie rosyjskiem znaczne porobiła postępy.

Jak z przytoczonego przykładu widać, stosunki wyznaniowe w Łukowskiem nie dawały powodu do jakichś tragicznych konfliktów, podobnych do głośnych wypadków w Kodniu, Pratulinie i innych miejscowościach wschodniego Podlasia, ale co się tyczy dawnych tradycji wolnościowych łukowskie strony na równi z innymi powiatami podlaskimi były owiane jednym duchem. Całe Podlasie od dawien dawna było terenem walk polaków o niepodległość. Tam leżą Maciejowice, tam Kock, tam Iłganie. Same Siedlce w r. 1846 były areną rozpaczliwego czynu Pantaleona Potockiego, który święcie spełnił rozkaz fantasty Zaliwskiego. Z Podlasia pochodzili bracia Frankowscy, ci najwybitniejsi może przedstawiciele polskiego romantyzmu politycznego w powstaniu styczniowym. W Siedlcach został stracony dzielny patriota Rawicz. Św. pamięci ksiądz Brzóska walczył jeszcze, gdy inne dzielnice Kongresówki były już zupełnie „uśmierzone”, gdy Traugutt z towarzyszami, jako ostatni skład Rządu Narodowego, zawiśli na stokach Cytadeli Warszawskiej. Nic tedy niema w tem dziwnego, że i wieś Łazy, gdzie spędziłem swoją młodość sielską-anielską, pełną była tradycji powstańczej. Chłopi ze wsi wskazywali na wzgórza w lasach poblizkich, gdzie byli pochowani polegli w walkach powstańcy, opowiadali szczegóły o śmierci pana Nowowiejskiego, który, gdy już wszyscy towarzysze jego albo się rozpierzchli albo polegli, nie dał się wziąć żywcem i jak bohater, któryby i w starożytności sa-

mej za wzór cnoty rycerskiej był stawion, legł, strzelając z okien własnego domu, od kul napierającego żołdactwa.

Te wszystkie szczegóły słyszałem na wsi opowiadane w mojem dzieciństwie, ale najobfitszym źródłem, z którego czerpałem swoją wiedzę o losach kraju rodzinnego, była moja matka. Posiadała ona dziwną pamięć i niezrównany dar opowiadania, który sprawiał, że zawsze słuchałem jej z największym zaciekawieniem. W młodości łączyły ją bliższe stosunki z domem pp. Frankowskich i sama brała udział w pracach powstańczych, używana jako kurjer do przewożenia tajnej poczty powstańczej. W owych czasach mężczyźni byli pod szczególną opieką szpiegów, żandarmów i policjantów rządowych, więc też organizacje powstańcze chętnie używały sił kobiecych do wszelkiego rodzaju zleceń, związanych z podróżami po kraju.

Wychowanie moje przedszkolne w ogólnych zarysach było podobne do wychowania dzieci w przeciętnej inteligentnej rodzinie wiejskiej na Podlasiu z przed pół wieku temu. Być może tylko te zasady religijności, tradycji narodowych, potrzeby intensywnej pracy i oszczędności, jakie panowały w naszym domu rodzinnym, były energiczniej wpajane w młode pokolenie. Teraźniejsze pieśńochy i mamusi-synkowie, wychowywane przez przeinteligentnione polki, przygotowujące się na dziełach szwedki Ellen Key do wychowywania dzieci polskich, uważaliby ten tryb życia, jaki pędziliśmy, gdym był dzieckiem, za jakąś ciężką pańszczyznę, a nawet niewolę, — ale myśmy, pomimo surowego rygoru, czuli się dobrze w swoim gnieździe, a i teraz z rozczeniem myślą się przenoszę do mych lat dzieciennych i pamięcią odtwarzam to nawet codzienne dawne moje życie. Oto godzina wczesna dnia zimowego. Matka moja wstawiała zawsze pierwsza z całej rodziny, pomiędzy 3 a 4-ą rano, i pierwsza zaczynała się krzątać. Sama zawsze budziła służbę. Jak dziś słyszę półgłosem nucone godzinki, któremi matka moja zawsze pracowity swój dzień rozpoczynała. A przy tym śpiewie pilnie się krzątała w pracy po domu i koło gospodarstwa. Po prześpiewaniu godzinek za-

czywały się śpiewy patriotyczne. Rano, zwykle jeszcze leżąc w łóżku z przymkniętymi oczami — otworzenie ich pociągało za sobą potrzebę natychmiastowego wstania z łóżka, gdyż matka moja nie znosiła długiego wylegiwania się — słyszę ten rozpaczliwy hymn do łaskawego Boga, który śpiewali jeszcze Konfederaci Barscy. Prosili oni, by był przyjęty ich, upadających ludzi, „płacz krwawy”. Skarżyli się, że „niema już dawnych, rycerzy sławnych”, że tylko „młódź się została i to niecała”, że „nieprzyjaciel wziął sobie za cel, ach nieszczęśliwa dola! z tak znamienitej Rzeczypospolitej uczynić Dzikie Pola”. A gdy już pieśń miała się ku końcowi, Matka podnosiła głos, i nie sposób było dłużej wyleżeć w łóżku. Na dworzu mróz trzaskający, okna całe lodem i śniegiem zaciemnione, a w ogromnym piecu pali się wesoło strzelający z nawpół podsuszonych polan ogień. Stary Szymon jeszcze w przeddzień naznosił pod piec drewno, by nieco podeschły; — węglem na Podlasiu bodaj i dziś jeszcze nie palą. Jasny płomień oświetla cały pokój. Zbliża się już godzina 6 rano. Zrywam się z łóżeczka i biegnę w koszulince pod piec posiedzieć, pogrzać się i popatrzeć na ogień, który zawsze ma dziwny urok i pociąga ku sobie człowieka. Ale o 6-ej trzeba już śpiesznie ubierać się, myć się zimną wodą, — ciepła woda była tylko dla chorych, — zmówić długi dosyć pacierz, przywitać się z rodzicami przez pocałowanie ich w rękę, i dopiero wtedy miało się już prawo z niecierpliwością oczekiwać na śniadanie. Przed śniadaniem, które podawano o 8-ej rano, można było poczytać, albo posłuchać, jak inni czytają. Głośne wspólne czytanie było u nas we zwyczaju, i pamiętam, jak w takich właśnie rannych godzinach przed ogniem z pieca słuchałem czytanych przez starsze rodzeństwo nowelek Prusa i Sienkiewicza. Czytać jeszcze nie umiałem, ale bardzo mnie już zajmował los nieszczęsny Janka-muzykanta i Antka, co idzie na tułaczkę do wielkiego miasta w poszukiwaniu lepszej doli.

Do stołu dzieci siadały zawsze nieco głodne a nie tak, jak to często teraz bywa, gdy zbyt czule matki niosą swym

rozpieszczonym synalkom i dziewczuszkom śniadanie do łózek. Śniadanie nasze zwykle składało się z miseczki krupniku jęczmiennego z mlekiem i kartoflami; herbaty i kawy dzieciom nie dawano, ponieważ napoje te odpowiednie były tylko dla starszych. Przy śniadaniu Matka ostrzegała dzieci, aby jadły do syta, gdyż „obiad będzie nie prędko”. Po śniadaniu zabierano się do pracy. Broń Boże, żeby któreś z dzieci próżnowało. Gdyśmy skończyli odrabianie zadanych lekcji, a ojciec nie miał odpowiedniej dla nas roboty w kancelarji, matka zalecała nam wykonywanie różnych robót domowych, jak rąbanie drzewa, co zwykle robiło starsze rodzeństwo, zaś darcie pierza, lub rozmotywanie bawełny było zadawane młodszym. Nie znając teorii wychowawczych, upatrujących dobre skutki w koedukacji, Matka moja praktycznie zaprawiała zarówno chłopców (było nas 4-ch), jak i dziewczynki (było ich 2) do wszelkich możliwych prac bez różnicy płci. Więc nprz., chłopcy wyszywali na kanwie, a i nieobce im było szycie, które później niejednokrotnie w życiu się przydawało. Starszy brat mój lekarz zapewnia, że udatne szwy operacyjne, jakimi imponował swoim kolegom medykom w klinikach Dorpackich, zawdzięcza praktyce, wyniesionej z domu rodzinnego.

Do obiadu siadaliśmy zwykle między 12 a 1-a, przytem przestrzegano, żeby każdy zjadł wszystko co do kruszynki z tego, co mu dano. „Baczie, aby nic się nie zmarnowało” — zdanie to często powtarzała moja Matka, rozwijając w ten sposób w nas zmysł oszczędności. Zasada oszczędzania, gdzie tylko można, była skrupulatnie stosowana w szczególności co do ubrania i obuwia. Palto kupione na starszego, gdy ten z niego wyrastał, w spadku przechodziło na młodszego brata i t. d., tak że ja, który byłem 3-im chłopcem z rzędu, przeważnie już tylko donaszałem ubrania po starszych, a młodszy ode mnie brat został nazwany przez jedną z pobożnych znajomych naszego domu „człowiekiem ewangelicznym”, gdyż nigdy, będąc dzieckiem, nic swego nie miał, otrzymując całe wyekwipowanie w spadku po starszych braciach.

Po intensywnej całodzienniej pracy zbieraliśmy się o szarej godzinie przy Matce, która zwykle zaczynała śpiewać i nas zmuszała do śpiewania naprzód pieśni pobożnych, następnie patryjotycznych. Do każdego sezonu były stosowane inne pieśni. Więc były śpiewane pieśni adwentowe, następnie kolendy, pieśni wielkopostne, wielkanocne, wreszcie majowe i na różne uroczystości kościelne. Z pieśni wymienionych najczęściej śpiewaliśmy znane kolendy: „Bóg się rodzi“, „Anioł pasterzom mówił“, „Zagrzmiała, runęła w Betlejem ziemia“, śpiewana na nutę skoczego mazura, która aż podrywała do puszczenia się w tany. Bo też i bywało zwykle, że po ukończeniu śpiewu — a każda pieśń zaczęta musiała być prześpiewana do końca, gdyż niedokończona pieśń pobożna musiałaby być dokańczana w niebie przez aniołów, a to nie wypada swoją robotę zwać na innych, — puszczaaliśmy się w tany żwawo i ochoczo. Mawiała zwykle nasza Matka, zachęcając nas do tańca: „Každy prawdziwy polak musi umieć dobrze bić się, i dobrze tańczyć“.

Z pieśni kościelnych, śpiewanych w domu, największe na mnie wrażenie wywierały pieśni wielkopostne, jak „Wisi na krzyżu“ i inne. Pamiętam jak raz rzewnie się rozplakałem, słuchając tej żalostnej nuty, opiewającej mękę Pana Jezusa. Ponury nastrój wywierała na mnie pieśń o Sądzie Ostatecznym, zaczynająca się od słów: „Trójca, Bóg Ojciec, Bóg Syn, Bóg Duch Święty“. Niesamowicie wprost czułem się i ciarki mi po skórze chodziły, gdy się wsłuchiwałem w tę kaskadę dźwięków zda się pozagrobowych, groźących grzesznym tego świata.

Co do pieśni patryjotycznych to niezwykle wielką ich ilość posiadała moja Matka w swym repertuarze. Poczynając od zacytowanego już wyżej Hymnu Konfederatów Barskich, po przez pieśni z r. 1831, z r. 1848 aż do piosenek z r. 1863 — wszystko to mieściło się w pamięci mojej Matki. Pieśniami temi kołysała nas Matka do snu, budziła nas rano, karmiła naszą wyobraźnię obrazami przeszłości narodowej, wyrabiała uczucie patryjotyczne. Więc już od dzie-

ciństwa marzyłem wraz z „Sieniawskim, odważnym i smutnym” o Hetmanie Żółkiewskim, współczułem pięknej Elżbiecie, żegnającej młodego Stefana Potockiego, biegałem w skocznym tempie w takt mazurka Chłopickiego, mierzyłem krokiem przyśpieszonym strofki marsza Mierosławskiego, który nawoływał do rewolucji powszechnej i „ten z nad Newy nieszczęsny lud” i dzielnego naszego brata z nad Sekwany, wreszcie z patosem wyciągałem znane słowa pieśni powstańczej: „Zrzućcie kajdany, dajcie mi broń, ja Was nauczę, jak wolność czuć”.

A gdy się śpiewy skończyły, zaczynały się deklamacje na sposób dawny wygłaszane. Coś pośredniego pomiędzy śpiewem a mową, rodzaj recitativo różnych wierszy poetyckich, których długie szeregi wygłaszała moja Matka z pamięci. Były w tym repertuarze przeważnie utwory naszych romantyków, jak Zaleskiego dumka o Mazepie, który nam groził, że „po staremu ogniem, mieczem, wytniem, spalem i uciechem”, jakaś długa opowieść o Ruslanie i Ludmile, pożegnania z Bajronowskiego Child-Harold'a w tłumaczeniu nieśmiertelnego naszego wieszca i wiele innych. Utwory te nawpół były śpiewane, nawpół skandowane na wzór epepej starożytnych, co mi na myśl przychodziło później, już na ławie szkolnej, podczas moich studjów nad Homerem.

Prędko mijała miła polska szara godzina. Zapalano światła: w kuchni jakiś nikły kaganek ze świeczki łojowej, której knot trzeba było obcinać od czasu do czasu specjalnymi szczypcami, — po pokojach świece stearynowe. Lampy naftowe zawitały do zapadłej wsi podlaskiej pod Łukowem dopiero za mojej pamięci, gdy miałem lat 7—8. A po zapaleniu światła zaczynała się znów robota. Z przyjemnością wymykałem się do kuchni, gdzie właśnie wieczorem odbywały się najciekawsze rzeczy. Schodziły się ze wsi prządki i kręcąc kołowrotki, opowiadały one cudne bajki. Cały nowy świat wyobraźni stawał przede mną. Z zaparciem serca wsłuchiwałem się w opowieści o szklanej górze i zaklętej na niej królewnie, o wilkołakach, świecących niesamowitem światłem, o topielcach, djabłach, czarownicach i t. p. cu-

dach, jakie stworzyła fantazja polskiego ludu. Wrażenie z tych opowiadań było bardzo silne. Pamiętam strach, jaki mnie ogarnął, gdym raz z kuchni wieczorem po nasłuchaniu się o tych strasznych rzeczach wbiegł do ciemnego, przyległego do kuchni pokoju. Tuż koło pieca spostrzegłem si-rawe nikłe światło, akurat takie same, jakim świecą dusze potępieńców, o których tylko co była mowa. Z krzykiem wpadłem z powrotem do kuchni, alarmując całe zebrane tam towarzystwo. Po wniesieniu światła do ciemnego pokoju okazało się, że przedmiotem, który tak mnie nastraszył, było próchno fosforyzujące na polanie z drew, leżących przy piecu. Miałem wtedy pewnie 5—6 lat. Z pośród wszystkich bajek, jakich nasłuchałem się w swoim dzieciństwie, najwięcej zaciekawienia budziły we mnie bajki służącej naszej Józii. Gdy inne dziewczęta opowiadały bajki oklepane z niewielkimi lokalnymi zmianami, przeważnie już mi znane z opowiadań starszego rodzeństwa, które wyczytało je z książek, bajki Józii były jakies swoiście oryginalne, przytem opowiadane z zaciekawiającą intonacją, obrazowo, tak że wprost z chciwością łowiłem uchem każde jej słowo. Z pośród tych wszystkich bajek najwięcej mnie interesowała jedna długa opowieść, gdzie główną bohaterką była jakaś tajemnicza postać nie z tego świata, zwana w tej bajce „siwą osobą”. Bajkę tę kilkakrotnie słyszałem opowiadaną i zawsze z nowem zajęciem i przejęciem się słuchałem jej. „Siwa osoba” tkwiła odtąd stale w mej wyobraźni i często oblany zimnym potem strachu budziłem się ze snu, gdzie mi się zjawiała owa „siwa osoba”, w wyniku jednak rad, że to był tylko sen. Ale zdarzyło się i przykra jawa. Siedziałem raz sam z młodszym bratem w pokoju, naraz otwierają się drzwi i wchodzi ona, „siwa osoba”. Oslupiałem na razie zastygły w niemem oczekiwaniu i stanąłem bezradny z szeroko otwartymi oczami. A ona tymczasem cichym bezszelestnym krokiem zbliżała się wprost ku mnie. Z krzykiem: „Siwa osoba idzie! siwa osoba idzie!”, zerwałem się i w nogi do drugiego pokoju, gdzie wpadłem wprost na Matkę, która widząc moje

przerażenie dobrotliwie położyła mi rękę na głowie. Wkrótce ku wielkiej mojej konfuzji sprawa się wyjaśniła. „Siwą osobą” była realna postać, pani S., znajoma moich rodziców, mieszkająca w sąsiednim dworku. Służąca Józia dostała burę i napomnienie, żeby nigdy już dzieci nie straszyla swemi opowieściami. Od tego czasu nigdy już bajki o „siwej osobie” nie udało mi się słyszeć.

II. Nauka przedszkolna

Gdym ukończył 6 lat, ojciec mój przywiózł mi pewnego razu ze swojej podróży do gubernialnego miasta Siedlec elementarz. Zwyczajem dawnym z każdej takiej podróży przywoził Ojciec dla każdej osoby z rodziny jakiś prezent; tym razem dostałem elementarz ku wielkiej zresztą mojej radości, gdyż zawsze z pewną zazdrością spoglądałem na książki, które czytała starsza ode mnie siostra Amelcia i bracia Oleś i Władzio. Nie był to elementarz Promyka, — ten na Podlasiu zjawiał się nieco później, — a, o ile teraz sobie przypominam, autorem jego był A. Jeske. Jakkolwiek elementarz Jeskego nie był ułożony nowoczesną metodą, i uczono na nim naprzód całego abecadła, a później sylabizowania najprostszycy zgłosek, wreszcie słów, — to jednak był on na swoje czasy postępowym w porównaniu z tymi starymi elementarzami, na których uczyło się moje starsze rodzeństwo. Tam na pierwszym miejscu była owa słynna „Różdżka”, — „Różdżką” Duch Święty dzieciom bić radzi, różdżka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi... i t. d. Ale tamte stare elementarze były już w strzępach, zużyte zupełnie przez małych barbarzyńców, ja przeto z pewną dumą rozpocząłem lekcje z Matką na nowym elementarzu. Wszystkie swoje dzieci rozpoczynała uczyć nasza Matka staro-dawną metodą sylabizowania. System ten, jako niepraktyczny, dawno już został zarzucony i słusznie, jednak miał on i swoje dobre strony, gdyż systematycznie dzieciak przyzwyczajał się do prawidłowej pisowni, powtarzając ciągle głośno litery, jakie wchodziły w skład danego słowa.

Dzieci zdolne w kilka tygodni i przy tym starym sposobie sylabizowania zapoznawały się ze sztuką czytania. Pamiętam, na pierwszej lekcji nauczyłem się za jednym zamachem całego abecadła, przyczem litery spółgłoskowe nazywałem nie zapomocą jednego dźwięku, jak to teraz praktykuje się powszechnie w szkołach, a całym brzmieniem: be, ce, de i t. d. Nauka szła mi łatwo i już w kilka miesięcy po rozpoczęciu nauki mogłem samodzielnie czytać sobie książki. Pierwszą moją książką do czytania była „Robinson Kruzoe”, przywieziona mi w prezencie przez rodziców z odfustu w Woli Gutowskiej, która była położona gdzieś tam hen, daleko, aż za Adamowem, jak mówili ci, co tam byli. Otóż ten Robinson była to dużego formatu — in quarto — książka z licznymi kolorowymi obrazkami, drukowana — co dla mnie wtedy było najważniejsze — wyraźnym dużym drukiem. Czytałem ją bez wytchnienia. Gdy raz skończyłem, zaczynałem od początku na nowo, tak, że, pamiętam, chwaliłem się później przed rodzeństwem, przeczytałem ją aż 16 razy. Całe ustępy z tej pierwszej mojej książki zostały mi w pamięci. Po opanowaniu nauki czytania nowe światy otwały się przede mną. Już mniej zajmowały mnie bajki, opowiadane w kuchni. Wszelkie wolne chwile od zajęć obowiązkowych spędzałem na czytaniu, chciwie łapiąc, co tylko wpadło mi w ręce. Jedną z pierwszych książek, które przewertowałem, był „Skarbczyk Polski” M. Illickiej. Była to właściwie historia Polski, ilustrowana portretami królów naszych, ułożona w ten sposób, że do każdego wizerunku monarchy dodany był odpowiedni wiersz, opisujący dzieje, jakie się wydarzyły za panowania danego króla. Po wierszu następowało krótkie uzupełnienie tych dziejów prozą. Książka Illickiej była tą moją ewangelją polską, z której już w dzieciństwie zapoznałem się z naszą historją w ogólnych zarysach. Moją wiedzę historyczną o Polsce uzupełniałem czytaniem 24-ch obrazków Anczyca — książki, która Matka często kazała nam głośno odczytywać.

Rodzice moi byli niezamożni, zresztą liczna nasza ro-

dzina była poważną ich troską, jak taką gromadę nakarmić, ubrać i wykształcić, to też liczone się w domu naszym z każdym groszem i tylko w rzadkich wypadkach kupowano książki. Z pism codziennych ojciec prenumerował naprzód Gazetę Warszawską, którą wtedy redagował Lesznowski, następnie Wiek pod redakcją Zaleskiego. Były u nas i pisma ilustrowane. Przedewszystkiem wspaniałe „Kłosa” z pięknymi drzeworytami, odtwarzającymi obrazy malarzy polskich i zagranicznych. Z lat mych dziecińczych zapamiętałem piękne ilustracje biblijne francuskiego malarza G. Doré'go, tudzież niektóre obrazy Matejki. Z czasów wojny rosyjsko-tureckiej było u nas czasopismo ilustrowane: „Wojna Wschodnia”, które Ojciec często chętnie i później czytywał głośno, tłumacząc nam ustępy mniej zrozumiałe, jako b. wojskowy, który przez lat 17 służył w armji rosyjskiej i wojował z turkami na Kaukazie podczas Wojny Sewastopolskiej. Ale i „Wojna Wschodnia” i „Kłosa” były dawane do rąk dzieciom tylko w chwilach uroczystych. Dostępnym dla dzieci zawsze był tylko rocznik „Kmiotka” — pisma doskonale redagowanego przez I. K. Gregorowicza. „Kmiotek” również zamieszczał ładne drzeworyty, gdyż wtedy jeszcze nie znano ohydnych fotograficznych trawionek, jakimi teraz wyłącznie posługują się nasze pisma obrazkowe.

Poza książkami ze szczupłej zresztą biblioteki domowej od czasu do czasu wpadały mi w ręce książki pożyczone od nielicznych inteligentnych sąsiadów z okolicy. Szanowano wtedy jeszcze święcie na Podlasiu cudzą własność i pożyczona książka starannie była przedewszystkiem okładana papierem gazetowym, by się, broń Boże, nie zbrudziła. Przed braniem do rąk cudzej książki dzieci musiały się wylegitymować z umytych czysto rąk. Przestrzegano przed dotykiem się do obrazków brudnymi paluszkami. We wdzięcznej mi pamięci pozostał dom pp. Kotarbińskich i Banzemerów, od których rodzice moi pożyczali książki do czytania.

Wielką radość sprawił nam najstarszy nasz brat Wła-

dysław, kiedy zaprenumerował za zarobione przez siebie pieniądze pismo dzieciinne p. t. „Przyjaciel Dzieci”. Pismo to, wydawane wtedy przez Skińskiego pod wyborną redakcją znajomego nam z „Kmiotka” staruszka Gregorowicza, przedstawiało się bardzo okazale, i przyjście każdego numeru „Przyjaciela” było przez nas witane szczerym wybuchem radości. Cały numer był odczytywany od deski do deski, wszystkie szarady, rebusy i łamigłówki musiały być rozwiązane, w czym wkrótce szczególnie najstarszy nasz brat doszedł do takiej wprawy, że sam układał różne łamigłówki i posyłał je do redakcji. Pamiętam, jaką dumą nappełniła nas wiadomość, otrzymana w odpowiedziach od redakcji, że przysłane łamigłówki będą drukowane w pisemku, co rzeczywiście okazywało się później zgodne z obietnicą.

Pierwsze dwa lata nauki, jak i inni bracia i starsza ode mnie siostra, odbyłem z Matką, ale wkrótce stawała się aktualną nauka języka rosyjskiego. Matka moja była wychowanka Szkoły Wydziałowej w Siedlcach (przed reformą Wielopolskiego), gdzie język rosyjski w one czasy był nieobowiązkowy, nie mogła być tutaj dla mnie odpowiednią nauczycielką, Ojciec, jakkolwiek dobrze znał język rosyjski, zajęty pracą zawodową, nie miał czasu na naukę z dziećmi, a bez dokładnego opanowania języka państwowego nie można było marzyć o dalszem kształceniu się w gimnazjum.

W żywej pamięci całego domu tkwiły trudności, z jakimi było połączone umieszczenie w gimnazjum Siedleckim starszego mego brata, Aleksandra, to też postanowiono oddać mnie zawczasu do Łukowskiej Szkoły Miejskiej.

III. Lata w szkole początkowej

Jeżeli jest mowa o Szkole Łukowskiej, to niejednen z dawnych znawców naszego szkolnictwa może sobie pomyśleć, że to może były jakieś resztki z Kollegjum ojców Pijarów, które ongiś słyneło na całe Podlasie. Otóż owe

Kollegjum dawne, czyli wyższe 8-o klasowe Gimnazjum Łukowskie, założone w drugiej połowie XVIII stulecia przy konwicie pijarskim, gdzie się kształciło tylu sławnych mężów, — że wspomnę tutaj filozofa Trentowskiego — za moich czasów już nie istniało. Ba, nawet śladu po tem gimnazjum już wtedy nie było. Zamknięcie gimnazjum i rozpuście profesorów nastąpiło po r. 1831, kiedy to zwycięzki ówczesny rząd carski wysiłał się specjalnie w kierunku gaszenia naszych ognisk oświaty. W przyległych do po-pijarskiego kościoła murach konwiktów były urządzone biura kasy powiatowej, akcyzy, a wreszcie mieszkania dla urzędników państwowych i kościelnych, gdyż Kościół po-pijarski był obrócony na parafjalny. Wspaniała biblioteka została zniszczona bezpowrotnie: część książek została przewieziona do gubernialnych Siedlec, część rozdrapana na miejscu, a część wprost sprzedana na makulaturę żydom miejscowym. P. Tr., którego tragi-komiczne przejścia opisywałem na początku szkicu niniejszego, pokazywał mi roczniki pism codziennych polskich z końca XVIII w. z najciekawszych dla nas czasów rozbiorów Polski. Roczniki te nosiły pieczęć biblioteki Kollegjum Pijarskiego w Łukowie. Otóż p. Tr. opowiadał mi, jak jeszcze za jego pamięci w kątach niezamieszanych czasowo izb leżały w beładzie stopy różnych starych druków, rozciąganych przez ludność okoliczną. Ale i część biblioteki przewieziona do Siedlec nie zachowała się w całości. Została ona złożona przy nowo utworzonym gimnazjum, jako podstawa biblioteki profesorskiej i mogłaby być zachowaną dla naszych pokoleń, gdyby ci szerzyciele oświaty umieli uszanować ten kulturalny spadek. Oni jednak okazali się barbarzyńcami. Rozciągali, jak się tylko dało, cenne tomy, które później rozproszone w przewrotnej losów kolei gdzieś ginęły. Pamiętam, wyrostkiem, będąc raz u prof. gimnazjum p. Red'ki, widziałem u niego książki ze stemplem biblioteki Łukowskiej.

Po zburzeniu Gimnazjum Łukowskiego centrum oświatowe przesunęło się na Podlasiu do Siedlec i do Białej, położonej więcej na wschód, gdzie ludność unicka, świeżo na

prawosławje przepisana, miała się utrwać w duchu rosyjskim, kształcąc swoje młode pokolenia w gimnazjum, skąd nawet słowo polskie zostało wygnane doszczętnie.

W Łukowie przy kościele po-Bernardyńskim, w dawnych murach po-klasztornych była urządzona w dobie popowstaniowej szkoła początkowa, która już za czasów mego dzieciństwa nosiła napis tylko w języku urzędowym: „Naczelnoje Uczyliszcze”. Do tej to szkoły uczęszczali starsi moi bracia, do niej i ja zostałem zapisany, by nabyć konieczną dozę urzędowej wiedzy, otwierającej przede mną drzwi gimnazjum.

Szkoła Łukowska była wtedy pod kierownictwem starego i wytrawnego nauczyciela ś. p. Hryniewieckiego, polaka, który jednak dłuższy czas spędził w Rosji i językiem rosyjskim władał znakomicie. Był to wysoki, przystojny, tęgi mężczyzna, dawny wojskowy, który mocną dłonią trzymał władzę nad rozhukaną trzodą dzieciaków. — Towarzystwo w Szkole Łukowskiej było bardzo mieszane: zaczynając od 6-o letnich pędraków, którzy zaczynali od alfabetu, a kończąc na młodzieńcach 15—16 letnich i podrastających pannach, które często wprost z ławy szkolnej, — jak to było wtedy w modzie, — stawały na kobiercu ślubnym. Szkoła była koedukacyjna, składała się z jednej ogromnej sali, gdzie często — tylko w miesiącach zimowych — mieściło się i ponad 100 dzieci. W szkole było 8 ławek, — coś jakby 8 klas, — i jedna mała przystawka, — niby klasa wstępna.

Po przedwstępnem przeegzaminowaniu posadzono mnie na ławkę 4-tą, zaś mego młodszego brata Walerka, nad którym zlecono mi bym miał opiekę, posadzono na przystawce, jako kompletnego jeszcze analfabetę. Miałem wtedy lat 8, brat mój miał lat 6. Pierwszy dzień w szkole upamiętnił się dla mnie przez przykre uczucie osamotnienia i pewnego wrogiego stanowiska, jakie wyczuwałem ze strony otaczającej mnie gromady rozbrykanych łobuzów. Jeszcze w czasie lekcji, kiedy uwaga całej czeredy była ześrodkowana na to, co im zza stołu obwieszczał głos „pana”

(tak zwykle nazywaliśmy swego nauczyciela) miałem względny spokój, ale na pauzach zaczynały się natrętne pytania, docinki, szturchańce i t. p. moralne i fizyczne tortury, przez jakie zwykle przechodzi nowy przybysz, gdy dostanie się do starej i już dobrze zgranej ze sobą czeredy. Muszę tu dodać, że do szkoły byłem przyjęty nie od początku roku szkolnego, a jakoś na wiosnę, w maju, kiedy wszyscy moi koledzy byli mocno z sobą zżyci, a świeżo wstępujących uczni nie było. Niepodołał się moim dręczycielom mój ubiór, czapka, buty, nazwisko, które wnet przekrecono, a że większość z tej bandy była znacznie odemnie starsza, ja zaś nigdy nie należałem do bardzo bitnych, przeto doznawałem przykrego uczucia bezsilności i osamotnienia. Nerwy moje wreszcie nie wytrzymały, i rzewnie się rozplakałem. Nie wielkie to jednak wrażenie wywarło na moich prześladowcach, to też z wielką radością wybiegłem na spotkanie Matki, która po lekcjach przyszła nas zabrać ze szkoły. Domyślając się przyczyny łez moich, które zresztą usiłowałem starannie ukryć, zburczała za mazgajstwo, ale zamieniła parę słów z panem Hr., polecając mnie z bratem jego szczególnej opiece.

P. Hr. był dobrym pedagogiem. Przedewszystkiem zarzucił on wtedy już przestarzały system sylabizowania, a uczył metodą dźwiękową.

Przykładem pedagogów niemieckich stosował chóralne wygłaszanie przez malców dźwięków, które sam pisał kredą na tablicy. Że metoda ta była dobrą, przekonałem się na moim młodszym bracie, dla którego metoda sylabizowania okazała się za trudną, a który w kilka tygodni nauczył się czytać, dzięki stosowanej w szkole metodzie dźwiękowej.

Co do mnie, to jako uczeń 4-ej ławki odrazu zacząłem czytać, pisać i rachować. Języka rosyjskiego nauczyłem się bez trudu, tak jakoś niepostrzeżenie; pomagała mi w tem kapitalna pamięć, odziedziczona po rodzicach. Pamiętam, w jakie zdumienie wprowadziłem moją Matkę, gdy w kilka dni zaledwie po rozpoczęciu nauk szkolnych, na jej pytanie: „Czego tam cię nauczono“? wyrecytowałem jednym tchem

dla niej niezrozumiałe wyrazy: „imia suszczestwitielnoje“, „imia priłagatielnoje“, „głagol“ i t. d. (rzeczownik, przymiotnik, czasownik).

By jeden nauczyciel mógł sobie dać rady z taką gromadą uczni, w Szkole Łukowskiej był zaprowadzony system wzajemnego nauczania. Starsi uczniowie—ci z 8-ej ławki—wysłuchiwali lekcji wydawanej przez młodszych, a że odbywało się to w jednej ogromnej izbie jednocześnie, więc pomimo czytania półgłosem szmer w klasie stale był dość duży.

Od czasu do czasu głośna komenda pana nauczyciela „tiszje“ przyciszała wzrastającą rozmowę, która po pewnym czasie znów jednak podnosiła się. Od czasu do czasu normalny, że tak powiem bieg lekcji zostawał zakłócany jakimś płaczącym okrzykiem. „Gospodin uczytiel, Wrona (były i takie nazwiska wśród moich kolegów) bjotsia“. Potem zwykle wstawał z za stołu (katedry w Szkole Łukowskiej za moich czasów nie było) sam pan, uzbrojony w ciężki szeroki linjał, podchodził z wolna do sprawców zamieszania i wołał donośnym głosem: „łapu“. Po kolei każdy z delikwentów wyciągał drżącą dłoń, na którą z zamachem spadał karzący linjał, aż głośny klask rozlegał się wśród chwilowej ciszy wraz z upomnieniem, że nie mówi się „bjotsia“, a „dierotsia“ (bije się).

Przy wymierzaniu kary sala cichła, wkrótce jednak zwykły szmer wydawanych lekcji ponownie podnosił się w klasie, aż do nowego napomnienia: „tiszje“.

Sytuacja moja w szkole dzięki specjalnej opiece p. Hr., który poza należną opłatą pieniężną otrzymywał jeszcze od moich rodziców dawnym zwyczajem różne podarunki w postaci darów Cerery, jak jajka, kielbasy etc. wkrótce wzmocniła się bardzo.

Przedewszystkiem zacząłem szybko awansować i po niespełna dwóch latach znalazłem się na 8-ej ławce; następnie wśród kolegów znalazłem uznanie za grę w piłkę, której się bardzo chętnie oddawałem. Nie było wtedy u nas tego jednostajnie nużącego bezmyślnego football'u, jakiśmy

teraz, idąc śladem za innymi narodami europejskimi na kontynencie, przyjęli od anglików, natomiast uprawialiśmy swojskie starodawne gry: w palanta, w ekstrę, w ścianki litewskie i t. p.

Zadaniem ówczesnej szkoły w Kongresówce, jakie stały się jej narzucić zwierzchnicze władze szkolne, było przedewszystkiem nauczyć języka rosyjskiego i za wszelką cenę przytłumić naturalny pęd ludności do kultury polskiej. W tym też celu język polski zaledwie był tolerowany, zresztą wymagania od uczeni znajomości języka rosyjskiego były tak wielkie, że wprost czasu brakło na nauczenie się języka polskiego. Poza nauką czytania dużo czasu zabierało tłumaczenie tego, co się przeczytało. Każdy niezrozumiały dla ucznia wyraz musiał być wytłomaczony, ale używanie języka ojczystego było przytem surowo wzbronione. Pamiętam, jeden z uczeni recytował wyuczony wierszyk z dzieł poety Puszkina. — „Kto takoj Puszkina?” — pyta nauczyciel. — „Puszkina eto czelowiek, kotoryj dziełajet puszkina” — brzmiała odpowiedź sztubaka. Przez wyraz „puszka” rozumiał on nie armatę, a pudełko blaszane — puszkę od szuwaksu, w której zwykle uczniowie lukowscy nosili stałówki. Zaczęła się tedy długa rozprawa w języku państwowym, mająca na celu wytłomaczenie różnicy pomiędzy armatą a puszką od szuwaksu, ale ponieważ używanie języka polskiego w czasie lekcji języka państwowego było surowo wzbronione i nauczyciel nie mógł się kompromitować łamaniem przepisów, których sam był winien przedewszystkiem strzedz, — przeto rozmowa rosyjska z mało rozwiniętym uczniem, który językiem państwowym nie władał, sprowadzała się, jak to mówią, do rozmowy gęsi z prosięciem.

Poza nauką czytania i deklamacji tudzież objaśnieniami słów niezrozumiałych, do zadań publicznej i ówczesnej szkoły na Podlasiu należało uczenie t. zw. „tytułów” (tytułów). Podawane to były w kształcie pytań i odpowiedzi. — „Kak imienujut (nazywają) naszego Gosudaria Imperatora?”, odpowiedź winna była brzmieć: „Jewo Imperatorskoje Wieliczesstwo Gosudar Impierator Aleksandr III Ale-

ksandrowicz". Szły następnie tytuły cesarzowej, następcy tronu, ministra oświaty, kuratora Warszawskiego Okręgu Szkolnego, którym wówczas był słynny: Jewo Prewoschoditelstwo (ekscelencja) Aleksandr Lwowicz Apuchtin, i t. d. aż do miejscowego gubernatora, naczelnika powiatu, naczelnika policji i wszystkich wogóle dygnitarzy, z którymi, teoretycznie rzecz biorąc, mógł się przyszyły obywatel państwa carów zetknąć.

Uczenie się tych tytułów nie było rzeczą łatwą, i tylko wyjątkowo zdolni uczniowie mogli to wszystko w swej głowie pomieścić. Wobec tego, że ci dygnitarze miejscowi często się zmieniali, trzeba było uczyć się nowych tytułów, tak że była to prawdziwa syzyfowa praca, jaka często bez żadnej korzyści dla rządu rosyjskiego, a dla tem większego utrapienia nieszczęsnych jego poddanych, wykonywała się w tem typowym państwie, rządzonym przez „Psunabudesów”, jak ich dowcipnie nazwał nasz H. Sienkiewicz.

Jeżeli wspomniałem wyżej, że ś. p. Hryniewiecki był dobrym pedagogiem, to przede wszystkim miałem na myśli tę przedziwną jego zdolność jednania sobie serc uczni. Nic to, że bywał on popędliwy, a często, uciekając się do kar cielesnych, przy swojej niezwykłej sile fizycznej przekraczał czasami miarę. Pamiętam naprz. przykrą historję, jaka powstała wskutek naderwania ucha, aż malec się zakrwawił, gdy go nauczyciel, — prawda za ważne przestępstwo zepsucia powietrza w klasie — gwałtownie pociągnął za ucho. Tak zwane „łapy" (bicie linjałem po ręku) było na porządku dziennym, nie mówiąc już o klęczeniu za karę. Ten przestarzały na obecne czasy w Polsce system pedagogiczny nie raził nas, gdyż wychowywanie dzieci wtedy naogół było surowsze, a rodzice często bijali swoje dzieci. Niejedna matka, przyprowadzając dziecko swoje do szkoły, prosiła, by nauczyciel nie żałował różgi i rozumu energicznie uczył. Hryniewiecki, — pomimo że mu robiono te i owe zarzuty za jego życie rodzinne — sam lubił dzieci i umiał sobie jednać ich sympatje, ciesząc się wielkim szacunkiem swych uczni.

Nie było przyjemniejszych chwil dla nas, jak wtedy, kiedy wyprowadzał nas za miasto na t. zw. oficjalnie „progułki” i tam grał z nami w piłkę. Ale największe sympatje nasze zyskiwał on sobie za nieoficjalne poza obowiązkowymi lekcjami czytanie polskie, kiedy to zbierał zdolniejszych uczni przy swoim stole, wyciągał jakąś ciekawą książkę polską, najczęściej podróżniczą i dawał głośno czytać po kolei zebranych słuchaczom. Przy czytaniu szeroko tłumaczył niezrozumiałe zwroty i nazwy, wdawał się w obszerną dyskusję nad przeczytaną treścią, uzupełniał opowiadania, zaczerpniętymi z własnego bogatego w przejścia życia. Tym czytaniom przy stole p. Hryniewieckiego wiele zawdzięczam, rozwinęły one we mnie namiętność czytania książek, która sprawiała, że wszystkie wolne chwile w tym czasie (8 — 9 rok mego życia) spędzałem na lekturze. Nie można się dziwić, że wybór książek, na jakie rzucałem się chciwy wrażeń, nie zawsze był odpowiedni. Naprz., parę razy przeczytałem wtedy sensacyjny romans francuskiego pisarza Ponson du Terrail'a p. t. „Rocambol”, w tłumaczeniu rosyjskiem. Nie pamiętam już, jaką drogą księga ta (były to obszerne 2 tomy oprawione in-kwarto z licznymi ilustracjami) trafiła do szczupłej naszej biblioteki domowej. Nikt ją u nas nie czytał, ale mnie ona wyjątkowo zainteresowała. Świat paryski z czasów restauracji Burbonów, w jego barwnych przejawach intryg, zdrad, fałszerstw, zbrodni i t. p. sensacji przedstawiony był w tym romansie bardzo obrazowo. Matka moja gorszyła się tem mojem upodobaniem do czytania „niezdrowych romansów”, ale ciekawość moja wtedy była siłą żywiołową, z którą walka była nader trudną.

IV. Pobyt w Gimnazjum Siedleckiem okres I (od r. 1885/6 — 1888/9)

Gdym ukończył lat 10 oddanie mnie do najbliższego Gimnazjum Siedleckiego stało się sprawą aktualną. Nie było to jednak rzeczą łatwą dostać się w owe czasy do gimnazjum. Na całe Podlasie, a więc na 10 powiatów, były wtedy

dwa gimnazja męskie: w Siedlcach i Białej. Poza niemi żadnych innych średnich szkół męskich ogólnokształcących tam nie było. Napływ kandydatów przeto do tych gimnazjów był ogromny, a więc z konieczności uciekano się do egzaminu konkursowego, na podstawie wyników którego zasadniczo decydowano o przyjęciu nowowstępującego ucznia. Powiadam „zasadniczo”, gdyż trafiały się przyjęcia i poza konkursem, ale przeważnie tylko synów ustosunkowanych rosjan. Wobec poważnych trudności zwyciężenia na konkursie egzaminacyjnym już wcześniej zaczęły się przygotowania, by mnie poddać odpowiedniemu treningowi. Wiosną 1885 r. Matka moja zabrała mnie z sobą do Siedlec, gdzie brat mój Aleksander był wtedy uczniem kl. III, ażebym się nieco otrzaskał z porządkami wielkemiejskimi w Siedlcach. Pierwsze moje występy w Szkole Łukowskiej stwierdzały, że nie należę do natur śmiałych, a przeto zachodziły poważne obawy, że mogę się na egzaminie „zaleknąć” i, jak to mówią, zapomnieć języka w gębie. Pierwszy to raz w życiu trafiło mi się wtedy jechać koleją żelazną. Zaciekawiało mnie tam wszystko, zaczynając od czerwonej czapki zaawidowcy stacji aż do dziwnego kształtu semaforów, których związku z jazdą koleją żelazną nie mogłem sobie na razie wytłumaczyć. To też zasypywałem Matkę pytaniami bez końca, tak że krótkotrwała godzinna podróż koleją z Łukowa do Siedlec przemknęła niepostrzeżenie. Ten pierwszy próbny pobyt w Siedlcach dał mi tyle nowych wrażeń, że następne moje wizyty w tej naszej podlaskiej stolicy nie pochłaniały tak już mojej uwagi. Po zebraniu podręczników i zasięgnięciu informacji, jak i czego uczono w klasie przygotowawczej przy rządowym gimnazjum, wróciłem z Matką do domu, i wnet zaczął się systematyczny trening. Cała moja znajomość geografji, historji Polski i wogóle języka ojczystego, jaką nabyłem w domu i w Szkole Łukowskiej, okazała się przy zdawaniu egzaminu do kl. I niepotrzebną. Zato główny nacisk trzeba było położyć na język rosyjski, a w szczególności na pisownię. Nim jeszcze przyjechał brat mój Aleksander na letnie wakacje,

najstarszy nasz brat Władysław, wtedy już nieetatowy urzędnik biura powiatu, trenował mnie wytrwale w pisaniu dyktand rosyjskich. Po przyjeździe Olesia zaczęło się intensywne kucie według wzorów, przez niego skrupulatnie przestudjowanych w specjalnie do gimnazjum przygotowującej szkółce siedleckiej p. Myca. Metody p. Hryniewieckiego okazały się niedostateczne, szczególnie w nauczaniu arytmetyki. Na egzaminie konkursowym dawano zadania pamięciowe i piśmienne, które trzeba było rozwiązywać podług specjalnych sposobów, wykładanych wstępniakom przez p. Łazutę, ówczesnego nauczyciela klasy przygotowawczej Gimnazjum Siedleckiego. Największą uwagę w nauczaniu arytmetyki zwracano tam na to, aby uczeń rozwiązując zadanie ustne (zwykle podług podręcznika Jewtuszewskiego), sam postawił sobie pytania i zaraz sam na te pytania dawał odpowiedzi. Na szczęście dla mnie, wszystkie te arkana brat Oleś przy pomocy owego p. Myca w zupełności przeniknął i przeprowadził mój trening według wszelkich zasad ówczesnej sztuki korepetytorskiej. Ile tam przytem szturchańców mi się dostało, ile t. zw. „byków” i tym podobnych środków, zaostrażających inteligencję, niktby nie zliczył, ale wynik z tego wszystkiego był taki, że gdy nas stanęło po wakacjach do konkursu 180 kandydatów na ogólną liczbę 40 wolnych miejsc, zdałem jeden z pierwszych. Prawda, że wyjątkowo sprzyjało mi szczęście. Niechybnie był w tem wpływ modlitw Matki mojej, która na intencję mego egzaminu odprawiła nowennę do Św. Antoniego. Dla czego do Św. Antoniego, wtedy nie zdawałem sobie dokładnie sprawy, ale teraz tłómaczę sobie tem, że być przyjętym w ówczesnych warunkach do kl. I państwowego gimnazjum znaczyło tyle, co wygrać los na loterji, albo znaleźć rzecz beznadziejnie straconą, a, jak wiadomo, Św. Antoni jest patronem straconych rzeczy. Szczęście moje w tym pamiętnym dla mnie dniu egzaminu polegało na tem, że z rosyjskiego dano mi do czytania (głośnego) bajeczkę: „Lisa i Żurawl”, z „Chrestomatji” (wypisów) Paulson'a, — tak mi znaną i oklepaną, zem ją płyn-

nie, nie myląc się ani razu w akcencie — „udarenji” — przeczytował następnie zupełnie ją gładko opowiedziałem, gdyż urywek ten znałem prawie bez błędu. Dyktando rosyjskie napisałem prawie bez błędu, arytmetyka również poszła gładko, a nawet z religji odpowiedziałem bez zająknięcia na zapytanie ks. Szyszkowskiego: „Jakie są cnoty teologiczne”, czem zresztą pogrążyłem paru swoich rywali, którzy jednocześnie ze mną zdawali, a żaden z nich o tych cnotach teologicznych nie miał pojęcia. Sukces ten przypisywałem interwencji mocy wyższej, gdyż akurat na jakąś godzinę przed egzaminem roztworzyłem na chybił-trafił katechizm Putiatyckiego i owe cnoty teologiczne wpadły mi w oko.

Po złożeniu wstępnego egzaminu wróciłem z matką do Łaz, gdyż na wynik ostateczny trzeba było kilka dni czekać i dopiero po otrzymaniu radosnej telegraficznej wiadomości „zdał”, wyprawiono mnie wraz z bratem na stały już pobyt do Siedlec.

W Siedlcach umieszczony zostałem u dalekiej krewnej matki, ciotki D., u której dotychczas był na stacji brat mój wraz z 4-ma innymi uczniami. Stacja mieściła się na ul. Błonie w parterowym domu Majewskiego. Pokoik, gdzie mieszkała nasza piątka, był bardzo ciasny i niewygodny, to też chętnie wybiegaliśmy na podwórko, gdzie było wolne pole do wszelkich gier i zabaw. Starszym na tej stacji był mój brat, wówczas ucz. kl. IV i on odpowiadał za nasze sprawowanie się w domu i poza domem. Wiezorami zwykle składali nam wizyty t. zw. pomocnicy wychowawców czyli jak wtedy mówiono, gospodarzy klas („pomoszcznik klasnych nastawników) — vulgo pedle, którzy w specjalnym zeszycie zapisywali swoje uwagi z odbytej wizyty. Od czasu do czasu wpadali i sami wychowawcy w tym samym celu. Starszy na stacji odpowiadał za nieobecność każdego z uczniów. Gdy na mieście zmrok zapadał, nie wolno było uczniom chodzić po mieście, chyba w wyjątkowych razach, co jednak często było przekraczane z wielkim sprytem, jak

o tem dowcipnie pisał Żeromski w swych wspomnieniach z Gimnazjum Kieleckiego.

Z pierwszych miesięcy pobytu mego w gimnazjum pozostał mi w pamięci tragiczny wypadek, który wstrząsnął mną do głębi. Oto jeden z naszych współtowarzyszy stacyjnych, Kazio Opolski, uczeń kl. II prywatnego gimnazjum p. Tuza, zginął nagłą tragiczną śmiercią. Poszliśmy we czwórkę, t. j. ja, mój starszy kuzyn Fr. M. i Kazio kąpać się na upamiętnioną w „Przedwiośniu” Żeromskiego Sekułę. Stał tam młyn wodny i spory stawek, w którym zwykle kąpali się uczniowie Siedleccy. Było upalne sierpniowe popołudnie. Zmęczeni kilkakilometrowym marszem stanęliśmy nad brzegiem stawu. Było tam już sporo kąpiących się i wstydlivy Kazio chciał jaknajprędzej zanurzyć się w wodzie. Ja wszedłem za nim. Ale on wnet trafił na głębię i rychło zaczął to zjawiać się na powierzchni, to pogrążyć się w wodzie; widocznie trafił w jakieś wiry. Narazie nie zdawałem sobie sprawy, co to jest. Wnet znikł pod wodą. Obejrzałem się na starszego kuzyna, który umiał pływać — sam jeszcze tej sztuki wtedy nie posiadałem, — ten popłynął na wskazane miejsce, ale Kazia już tam nie znalazł. Sprowadzono łódź, zaczęto szukać nieszczęśliwego, gruntując wodę bcsakami, wszystko napróżno! Po kilku-godzinnem darem-nem poszukiwaniu, gdy zbliżał się już wieczór, wróciliśmy do domu bez Kazia. Smutny był to powrót. Kuzyn M., jako starszy, pod którego opieką wyruszyliśmy, robił sobie straszne wyrzuty i bał się odpowiedzialności za tak fatalny koniec. Mnie gryzło sumienie, że zapóźno zaalarmowałem kuzyna, który możeby potrafił wyratować Kazia, gdy ten całkowicie jeszcze się w wodzie nie pogrążył.

Po przyjsciu naszym do domu i opowiedzeniu o wypadku zostali telegraficznie zaalarmowani rodzice Kazia. Mieszkali oni w Łukowie i tejże nocy przyjechała pani O. Nazajutrz skoro świt rozpoczęto znów poszukiwania i dopiero około południa wydobyto ciało nieszczęśliwego chłopaka. 40 lat minęło od tego czasu, a żywo jeszcze obraz

Kazia staje mi w oczach. Był to bardzo ładny chłopiec i dobry kolega.

Pierwszy rok swoich nauk w Gimnazjum Siedleckim spędziłem nie w głównym gmachu, a w budynku jednopiętrowym, po drugiej stronie ulicy położonym, w t. zw. budynku ochronki, czyli „prijutie”, jak go wtedy powszechnie nazywano. W budynku tym mieściły się klasa przygotowawcza i dwie pierwsze: pierwsza etatowa („sztatnyj klass”) i pierwsza równoległa („parallelnyj klass”). Ja trafiłem do klasy etatowej. Było nas w klasie przeszło czterdziestu uczniów, z których większość pochodziła z klasy wstępnej. Ci, jako więcej zżyci z sobą, stanowili zwartą mafję, która terroryzowała każdego nowego przybysza, do których i ja się zaliczałem. Pierwszy dzień pobytu mego na lekcjach w gimnazjum skończył się tak, jak i w Szkole Łukowskiej, t. j. płaczem. Wstyd to już był wielki, gdyż miałem wtedy 10 lat ukończonych, ale cóż poradzić było z nerwami, nad którymi mali barbarzyńcy nie mieli litości. Wkrótce jednak dzięki mojej zręczności w grze w piłkę ustaliły się dobre stosunki z kolegami; po bliższym poznaniu okazali się oni nawet wcale dobrymi towarzyszami.

Skład narodowościowy uczniów w Gimnazjum Siedleckim za moich czasów był taki, że żydów wcale prawie nie było, rosjan zaś było nie więcej nad 10% pomimo wielkich ze strony władz rządowych usiłowań, by procent rosjan wśród uczniów możliwie powiększyć. Dyrektorem wtedy był Ponomarow, człowiek ludzki i sprawiedliwy, nie rusefikator, pochodzący, jak mówiono, z rodziny kozackiej. Od 3-ej klasy poznałem go bliżej, gdyż był on moim nauczycielem greki przez 1½ roku, a zarazem wychowawcą („klassnyj nastawnik”). Umarł na stanowisku w zimie roku szkolnego 1888/9. Jako uczeń gimnazjum wraz z innymi byłem na jego pogrzebie. Wtedy pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się być w cerkwi prawosławnej. Przewaga żółto-złotego koloru w całej ornamentacji wnętrza cerkwi i ubiorów duchowieństwa wraziła mi się wówczas żywo w pamięć, tak że od-

tań, gdy wspomnę cerkiew, w oczach mi staje złoto-żółta plama.

Ze śmiercią dyrektora Ponomarowa skończył się dla mnie pierwszy okres mego pobytu w gimnazjum. Ponomarow, jak wyżej zaznaczyłem, rusyfikatorem nie był, na protekcję władz wyższych rosyjskich małą zwracał uwagę. Przeciwnie, gdy wyczuwał, że taki protegowany, licząc na oparcie o władze wyższe, opuszczał się w naukach, tem bardziej go cisnął, publicznie strofując za lenistwo i niepokojąc go częstemi wywoływaniem do lekcji. Pamiętam, jaką uciechę nam polakom sprawiła ostra nagana, z jaką napadł dyrektor P. na ucznia Cz., syna naczelnika żandarmów gubernialnych. Naczelnik żandarmów gubernialnych, to w one czasy wielka figura, z którą nawet gubernator starał się nie zadzierać, gdyż jakkolwiek teoretycznie taki naczelnik podlegał pod pewnemi względami władzy gubernatora, to jednak miał on możność bezpośredniego komunikowania się w sprawach doniosłości państwowej ze słynnym III Oddziałem, na którego czele stał szef korpusu żandarmów, a przed tym ostatnim drżeli nawet ministrowie. Bezstronność dyrektora P-wa sprawiała, że sprawa stosunku rosjan do polaków zbytnio nas nie zaprzątała. Z kolegami rosjanami naogół żyliśmy w doskonałej zgodzie i ten sam syn naczelnika żandarmów w rozmowach z nami posługiwał się stale językiem polskim, chociaż teoretycznie było to zabronione.

Drugim wielce dodatnim typem rosjanina był nauczyciel matematyki Kułakow, człowiek szlachetny i sprawiedliwy. Miał on jedną tylko wadę — lubił często wypić — ale tę okupywał stokrotnie poprawnem swem zachowaniem się względem nas, polaków. Być może przesadzał on nawet w tej swojej bezstronności i często zbyt już cisnął swoją matematyką synów wysoko-ustosunkowanych rosjan. Słynne były jego ostre ataki na synów miejscowego gubernatora S. i późniejszego dyrektora gimnazjum A., który nastąpił po Ponomarowie.

Inspektorem gimnazjalnym był p. Piotr Stiepanowicz

Sotniczewskij, wysoki i gruby drab, człowiek inteligentny i w gruncie rzeczy dobry. Ten, jakkolwiek z wykształcenia nie był filologiem, jednak wykładał w dwóch niższych klasach język rosyjski, gdyż finansowo nauczyciele języka państwowego byli najlepiej usytuowani. Ponieważ obowiązkiem inspektora był podówczas nadzór nad szkolnictwem i uczniami — dyrektorowi powierzone były główne funkcje administracyjne, — a Sotniczewskij rusefikatorem z natury nie był, przeto stał się niewygodnym przyszłym działaczom, którzy opanowali Gimnazjum Siedleckie wkrótce po śmierci starego dyrektora Ponomarowa, i Sotniczewskij został rychło gdzieindziej przeniesiony. Przyczynił się do tego i zatarg S-go z popem miejscowym Mizieckim, który wygryzł dobrodusznego swego poprzednika Czamowa i stanął w szeregu najfanatyczniejszych i najprzebieglejszych „objedinitielej” i „obrusitielej”.

Jak to wyżej zaznaczyłem, stosunki nasze z kolegami rosjanami były przyjazne. Trzymali oni z nami naogół jeden front wspólny przeciwko władzy pedagogicznej, brali udział w naszych zabawach i raczej oni się w gimnazjum polonizowali, niż my rusefikowali, ale to da się powiedzieć tylko o tym pierwszym okresie mego pobytu w gimnazjum, do czasu śmierci dyrektora Ponomarowa włącznie. Przyjaźń nasza z rosjanami wzmacniała się jeszcze przez jednako wrogie ustosunkowanie się nasze do żydów. Nie było wtedy mowy w Polsce o antysemityzmie. Idylla zgodnego pożycia z żydami, zapoczątkowana w okresie romantyzmu politycznego i przedłużona na czas rozkwitu pozytywizmu trwała wówczas w całej pełni. Toć przecie wtedy wychodził „Przegląd Tygodniowy” Wiślickiego, organ czytywany chciwie przez starsze pokolenie ówczesnej młodzieży polskiej. O jakimś bojkocie ekonomicznym żydów nikt wtedy nawet się nie zająknął. Prawda, nic jeszcze nie było słychać ani o sjonizmie, ani nawet o kwestji litwackiej. Jakkolwiek w tych czasach zaczęła wychodzić „Rola” Jeleńskiego, to jednak wyraźny zachowawczo-klerykalny kierunek tego pisma raczej odpychał ówczesną inteligentną mło-

dzież od wszelkich prądów antysemitycznych. Czytywano wtedy Chawę Rubina i Meira Ezofowicza i inteligencja polska ustosunkowywała się do kwestji żydowskiej pod kątem widzenia idej, wytworzonych w okresie pozytywizmu. Ale te ideowe prądy dominowały wśród młodzieży starszej, od klasy 5-ej poczynając. Natomiast my, wyrostki z klas niższych, wyznawaliśmy hasło: „bij żyda”. Nie wynikało to hasło z jakichś teorii nacjonalistycznych. Był to raczej żywiołowy odruch instynktu rasowego, który, — trzeba to przyznać, — był potępiany przez starsze pokolenie młodzieży.

Najgorętsze walki z żydami były staczane w soboty. Święty dzień szabasu był i dla nas najprzyjemniejszym dniem w tygodniu. Po powrocie z gimnazjum całe sobotnie popołudnie należało zgodnie z ustaloną tradycją do nas. Ci, co odrabiali swoje lekcje pod kierownictwem korepetytorów, tradycyjnie odkładali ową pańszczyznę na niedzielę, inni, pozostawieni sami sobie, szli za ich przykładem, tak że dniem prawdziwego wypoczynku była dla nas sobota, nie niedziela. W niedzielę trzeba było kuć lekcje, więc właściwy nastrój odpoczynkowy wtedy już mijał. Załatwiwszy się prędko z obiadem, grupami puszczaliśmy się na dalekie sobotnie wycieczki. W perspektywie 40 lat owe spacerowanie na Rozkosz, Sekułę, do Igań, na Szosy Międzyrzecką, Łukowską, Sokołowską i t. d. pozostawiły po sobie wspomnienia rajcudniejszych chwil życia. Nic to, że w czasie tych wycieczek trzeba było często stoczyć gorącą walkę z mrowiem żydowskim, które właśnie w dzień sobotni uważało za swój przywilej objęcie w stan posiadania podmiejskich dróg i szos. Był to już dla nas casus belli. Jakto, mamy przed żydami z drogi ustępować?! Więc za czyn bohaterski uważaliśmy sobie zepchnąć takiego żydziaka w rów przydrożny, gdy tylko w porę z drogi nie zemknął. Była to z naszej strony łobuzeria, może nawet w złym guście, wynikała ona jednak z aryjskiego podłoża psychicznego, wrogiego żydom. Nie zawsze jednak my byliśmy górą. Czasami trzeba było rejterować pod naporem przeważających sił wroga.

Pamiętam jedną taką porażkę. Stoczyliśmy ostrą walkę na szosie Łukowskiej, tuż przed samym przejazdem kolejowym. Przeważająca liczba synów Izraela w tradycyjnych chałatach szabasowych otoczyła nas, t. j. mnie i 3-ch moich kolegów ze stacji ciotki M-wej. Byłem wtedy w kl. 3-ej, kole-dzy moi w 2-ej i 3-ej. Słaba ta nasza załoga nie mogła długo wytrzymać ataku mrowia żydów, to też mężnie wzięwszy nogi za pas, przebiliśmy się przez ciżbę żydowską i puściliśmy się pędem szosą ku ulicy Florjańskiej. Żydostwo rozwścieczone za nami. Kamienie warczały koło naszych uszu, ale i my nie pozostawaliśmy dłużni i od czasu do czasu, wyjmując z kieszeni przygotowane uprzednio kamyki,— w owe czasy bez takiej amunicji szanujący się uczeń nie chodził na spacery za miasto, — celnymi strzałami trzymaliśmy tłum wyrostków żydowskich w przyzwoitem oddaleniu. Nareszcie wpadliśmy do miasta. Żydostwo tuż na naszych piętach, rozzuchwalone, gdyż w samym mieście atak kamieniowy mógł pociągnąć za sobą smutne konsekwencje. Pędem przebiegliśmy przez ulice: Florjańską, Warszawską, Sądową, wreszcie wpadliśmy na Błonie i do sieni domu Błońskiego (był tego nazwiska pan, właściciel domu, gdzie mieściła się nasza stacja). Ówczesna ulica Błonie uważa-łą była prawie za przedmieście, to też rozzuchwalone żydostwo przypuściło do zatrzaśniętych drzwi, za którymi byliśmy schowani, atak kamieniami, licząc, że, wobec zapadającego zmroku i z powodu braku w pobliżu policji ujdzie im to bezkarnie. Zresztą żyd jest zwykle odważny, gdy widzi rejteradę nieprzyjaciela. To jawne naruszenie przez żydów zwyczajów naszych wojen ówczesnych, które zabraniały używania pocisków kamiennych w mieście, — gdzie było przyjęte używanie broni lekkiej — procek gumowych— oburzyło nas do głębi. Po krótkiej naradzie, uzbrojeni w paski skórzane, zakończone metalowemi klamrami, nagle otworzyliśmy drzwi i samoczwart runęliśmy na nieprzygotowanych do tego ataku żydów. Na czele biegł Now-ski, obecnie jakiś wysoki dostojnik Kościoła Katolickiego w Lublinie, uzbrojony w swój straszliwy pas, zakończony potężną

klamrą żelazną, wagi blisko funtowej (nasze klamry od pasów były przepisowe z cienkiej blachy mosiężnej i do walk ulicznych mniej się nadawały). Z homerowskim okrzykiem wpadliśmy obces na tłum zdezorjentowanego żydostwa i poczęliśmy prać żydowinów niczem Kiemlicze Sienkiewiczowi. I minuty nie przeszło, jak z wielkim „giewałtem” pierzchł wróg z przede drzwi, a my, jadąc na jego karkach, dobiegliśmy prawie aż do samej ulicy Warszawskiej. Wróciliśmy rychło z tryumfem na stancję, rozgrzani walką, z zadowoleniem, że jednak mimo wszystko „nasi górą”. Były tam później porachunki z ciotką i p. „Starszym” na stancji, którym wówczas był uczeń kl. VI mój brat Aleksander, ale przez skórę czulo się w czasie połajanki, że sam „p. Starszy” wzdychał do tych minionych już dla niego czasów, kiedy to bez obawy kompromitacji mógł staczać walki z żydami. Młodość — ten cudowny rzeźbiarz — wyryła w mojej pamięci epizod wyżej opisany tak plastycznie, że żadne późniejsze zdarzenia, jak wrażenia z dwukrotnego przekradania się przez front rosyjsko-niemiecki, jak ucieczki z obozu jeńców pod Wiedniem podczas wielkiej wojny, nie zdołały zatrzeć tamtejszych wspomnień.

W walkach z żydami koledzy rosjanie — zresztą wówczas jeszcze nieliczni — byli po naszej stronie. O ucisku narodowościowym w gimnazjum Siedleckim wtedy jeszcze mało się mówiło. Poza lekcjami, któreśmy traktowali jako swego rodzaju przykrą, ale nieuniknioną pańszczyznę, my, uczniowie klas niższych, spędzaliśmy czas na różnego rodzaju grach. Szczególniej była popularna gra w piłkę. Już w swoich wspomnieniach ze Szkoły Łukowskiej podkreśliłem tę pasję ówczesnej młodzieży, ale prawdziwie artystyczną grę w palanta, w ekstrę, w ścianki litewskie mogłem ocenić dopiero w Siedlcach. Czy znajdzie się teraz wśród uczni współczesnego pokolenia taki siłacz w rękę, jak mój kuzyn Bolek Al-cz? Ten jak huknął z lewej ręki (w grze w piłkę był on mańkutem) — a strzał to był bardzo niebezpieczny, bowiem przyzwyczajeni do pocisków z prawej ręki — niełatwo unikaliśmy uderzeń z mańki — to

prawdziwie „wykurzał duszę” z nieszczęśliwego przeciwnika. A któżby teraz znalazł takich elastycznych chłopców, jakimi byli Przeg-ski lub Sad-ski, co jak skoczki cyrkowe, zda się, fruwały w powietrzu, stając się niedosięgalni dla rąk piłki, rzuconej przez najcelniejszych mistrzów. Moja znajomość gry w piłkę, którą imponowałem prowincjonalistom w Łukowie, zupełnie zbladła wobec takich „czempjonów”, jak wyżej wymienieni.

V. Drugi i ostatni okres mego pobytu w Gimnazjum Siedleckim (lata od 1888/9 do 1892/3)

Takie były zabawy, spory w one lata wśród cichej miejsciny podlaskiej, kiedy cała część Polski z pod zaboru rosyjskiego coraz to dotkliwiej zaczęła uczuwać ciężką rękę obcego panowania. Były to już czasy Apuchtina, który sobie za zadanie życia postawił, by doprowadzić społeczeństwo polskie do stanu, kiedy to matki-polki będą usypiać swe dzieci śpiewkami rosyjskimi. Ostry, antypolski i wyraźnie rusyfikacyjny kurs, wprowadzony przez tego dygnitarza do szkolnictwa w Kongresówce, rychło dał się wyczuwać i w Siedlcach. Wszyscy nowi nauczyciele, mianowani na miejsce ustępujących, byli zdecydowanymi wrogami polskości. Na miejsce dobrodusznego sędziwego popa Czamowa, który nie wykraczał w swojej działalności poza wązki zakres obowiązków cerkiewnych, został mianowany pop Mizieckij o wyraźnej antypolskiej fizjognomji duchowej. Na miejsce rzetelnego moskala i sprawiedliwego człowieka, dyrektora gimnazjum Ponomarowa, który umarł w końcu 1889 roku, został mianowany Abramowicz, człowiek niepewnego pochodzenia, gorliwy wykonawca planów Apuchtinowskich. Ustąpił rychło na skutek intryg popa Mizieckiego inspektor Sotniczewskij, a na jego miejsce przysłano Liwotowa, karjerowicza, człowieka bez zasad, liberała w stylu Milutinowskim. Połączone wysiłki tych trzech działaczy-„obrusitielej”, wnet się odbiły ujemnie na stosunku ówczesnej młodzieży gimnazjalnej do całego ciała peda-

gogicznego. Stosunek ten stał się jaskrawo-opozycyjny. Opozycyjność ta wzmogła się na skutek podniesienia się ruchów radykalno-społecznych, które temi czasy zaznaczyły się w całym zaborze rosyjskim.

Zanim przystąpię do opisu drugiej połowy czasów, spędzonych przezemnie w Gimnazjum Siedleckim, zaznaczę w ogólnych zarysach tło polityczne i dążenia uświadomionej politycznie części społeczeństwa polskiego w ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku.

Po upadku powstania 1863 r. społeczeństwo polskie stosunkowo rychło otrząsnęło się z apatji i przygnębienia, jakie ogarnęło je po tak znacznym upuście krwi, wylanej przez najdzielniejszych synów ojczyzny. Gdy po klęsce 1831 r. noc polityczna na ziemiach polskich zapanowała na długie lata, co ułatwiło rządowi autokraty rosyjskiego zniszczenie w krótkim stosunkowo okresie czasu całego dorobku paru pokoleń, — po roku 1863, opór, prawda, na razie bierny, społeczeństwa, przeciwstawiającego się niszczytel-skim wpływom wschodu, był znacznie większy. Gdy po roku 1831 od jednego zamachu były zgaszone wszystkie źródła wyższej oświaty w Polsce, jak Uniwersytety Wileński i Warszawski, jak Politechnika Staszycowska, jak Wyższa Szkoła Górnicza w Kielcach, jak Liceum Krzemienieckie, — to Szkoła Główna, ten najwspanialszy pomnik, jaki sobie Wielopolski wystawił, przetrwała po powstaniu 63 r. jeszcze kilka lat. Przekształcona następnie na Cesarski Uniwersytet w tej swej nowej postaci oddziaływała na całe inteligentne społeczeństwo świeżą swoją tradycją. Dążenie do nauk ścisłych, wszczepione przez zespół profesorów Szkoły Główniej, wytworzyło podłoże ruchu literacko-politycznego, znanego u nas pod mianem pozytywizmu. Następne, współczesne już mnie pokolenie na ogół zbyt surowo ocenia ruch pozytywistyczny, nie tylko odmawiając mu wszelkich zasług, ale nawet traktując go jako objaw ujemny, obniżając nasze aspiracje polityczne. Pogląd taki stanowczo nie jest słuszny. W swoim czasie kierunek pozytywistyczny był naturalnym odruchem społeczeństwa, skie-

rowanym przeciwko romantyzmowi politycznemu, który stanowczo już wtedy nie miał żadnej racji bytu. Jeszcze w zapadłych kątach Podlasia i innych kulturalnie cofniętych prowincjach Polski echa tego romantyzmu politycznego nie przebrzmiały zupełnie aż do początku dziewiątego dziesiątka ubiegłego stulecia, jeszcze tam czerpano mądrość polityczną z przemycanego potajemnie i skwapliwie kolportowanego przez bezrobotnych epigonów powstańczych „Djabła” krakowskiego, ale w Warszawie owa „tromtadracja” quasi patriotyczna już nie znajdowała posłuchu wśród inteligentnych warstw młodszych. Pozytywiści wnieśli do prasy polskiej żywą myśl, wysunęli cały szereg potężnych talentów pisarskich, przyczynili się znakomicie do podniesienia ducha polskiego w epoce popowstaniowej. Ale przeciwstawiając przeczulonemu uczuciu polskiemu zdrowy rozsądek i pozytywną pracę u podstaw, pozytywiści nie mogli długo panować nad umysłami młodzieży polskiej, zawsze zapalnej, zawsze upajającej się hasłem: „Mierz siły na zamiary”. Już na początku ósmego dziesiątka ubiegłego stulecia, około r. 1873, powstały w ogniskach akademickich wśród młodzieży polskiej, studjującej za granicą, pierwsze znane mi polskie organizacje socjalistyczne. Zaznaczę tutaj dwa źródła socjalizmu polskiego: pierwsze — to zachód Europy, drugie — to Rosja.

W większych skupieniach studenckich na Zachodzie, jak Paryż, Genewa, Bruksella, potworzyły się polskie kółka socjalistyczne, ulegające bezpośredniemu wpływom ówczesnych prądów zachodnio-europejskiego socjalizmu. Kółka te zajmowały się samokształceniem swych członków w kierunku radykalno-społecznym, tudzież wydawaniem i kolportowaniem do kraju tłumaczeń najgłośniejszych ówczesnych broszurek socjalistycznych, a z biegiem czasu podjęły się wydawania czasopism socjalistycznych, jak wychodząca w Genewie „Walka klas”, w Paryżu „Pobudka” i t. p. Ten prąd socjalistyczny, płynący za pośrednictwem młodzieży polskiej z Zachodu, liczył się z potrzebami narodowymi, i często dawniejsi powstańcy nasi stawali się wy-

znawcami skrajnych teorii społecznych. Do takich nprz. należy sędziwy senator Bolesław Limanowski. Drugie źródło socjalizmu w Polsce — to Rosja. Liczne skupienia młodzieży uniwersyteckiej polskiej w Petersburgu, Moskwie, Kijowie, Charkowie i t. d. pomimo wyodrębnionych swoich organizacji, ulegały silnym wpływom anarchystyczno-socjalistycznym, jakie panowały wśród młodzieży rosyjskiej. Ten socjalizm rosyjski był w przejawach swoich znacznie gwałtowniejszy od zachodnio-europejskiego, a otoczony aureolą bezwzględnej walki z caratem znajdował chętnych zwolenników wśród gorętszej młodzieży polskiej. To też rychło przeważał on w przekonaniach naszej młodzieży, i gdy w 8-ym dziesiątku ubiegłego stulecia głównymi szerzycielami socjalizmu w Polsce była młodzież uniwersytecka z Zachodu, w 9-ym dziesiątku tegoż wieku — młodzież studjująca w Rosji. Na początku tego ostatniego dziesięciolecia działa już w Polsce na terenie Kongresówki silna Partja Socjalistyczna „Proletarjat”, będąca w blizkich stosunkach z terrorystyczną partją rosyjską „Narodnaja Wola”. W r. 1886 nastąpiła egzekucja 4-ch członków „Proletarjatu”.

Jakkolwiek represje rządu carskiego rozbiły główne siły „Proletarjatu”, to jednak wśród młodzieży polskiej tworzyły się w dalszym ciągu kółka ideowo-socjalistyczne. Nie tylko młodzież uniwersytecka, ale i uczniowie starszych klas gimnazjalnych skupiali się pod czerwonym sztandarem, wierząc, że minął już czas na powstania narodowo-polityczne, i że głównem zadaniem ideowej młodzieży polskiej jest organizowanie kadrów socjalistycznych, z których powstanie armja, co zburzy stary ustrój ekonomiczny. Ta pierwsza partja socjalistyczna „Proletarjat”, którą odróżniać należy od później znacznie zorganizowanej przez L. Kulczyckiego: Polskiej Partji Socjalistycznej „Proletarjat”, ideowo również daleko stała od epigonów romantyzmu, którzy wywołali powstanie 1863 r., jak i od pozytywistów, wyznawców haseł budowy społeczeństwa polskiego od podstaw, czyli od t. zw. organiczników.

Okolo końca 9-go dziesiątku ubiegłego stulecia silny

ruch socjalistyczny powstał wśród starszej młodzieży gimnazjalnej, skupionej w V Warszawskim Gimnazjum. Pośród tej młodzieży znalazło się wiele wybitnych jednostek, jak obydwaj Grabscy: Władysław głośny Minister Skarbu i Premier i Stanisław — Minister Oświaty, poeta Tadeusz Mi-ciński, Mikłaszewski — Minister Oświaty, geografowie Arc-towski i Dobrowolski, znany kooperatysta Mielczarski, pi-sarz obozu radykalnego G. Daniłowski, przedwcześnie zmarły b. zdolny K. Drac i inni. Żandarmerja rosyjska, wyćwiczona na tropieniu kółek socjalistycznych wśród star-szej generacji, z łatwością rozgromiła owe warszawskie kółka uczniowskie, a w wyniku śledztwa wpadła na ślady, że nietylko w Warszawie, ale i wśród uczni na prowincji istnieją nielegalne polityczne kółka uczniowskie, i zawiadomiła o wyniku swego dochodzenia odpowiednie prowincjonalne zarządy żandarmerji.

Zanim przejdę do opisu wypadków w Gimnazjum Sied-leckiem, jakie zaszły w r. 1890/91 pozwolę sobie wyłożyć w krótkich słowach, na czem polegała praca polityczna w takich kółkach uczniowskich za moich czasów i jaki ona wpływ wywierała na ówczesne i przyszłe pokolenia inteli-gencji polskiej.

Otóż przedewszystkiem praca ta polegała na doksztal-caniu uczni w tych przedmiotach, w których gimnazjum żadnych wiadomości nie dawało. Kierunek klasyczny w przeważnej ilości szkół pod zaborem rosyjskim będących, ustalony reformą rosyjskiego ministra oświaty Tołstoja, na-dawał wykształceniu naszej młodzieży charakter jedno-stronnie humanistyczny. Nie wiem dlaczego, uważały wte-dy zachowawcze sfery rządowe, że kierunek realny więcej pobudza młodzież do myśli rewolucyjnych. Mniemanie błędne, boć, jak historia stwierdza, każdy kierunek myśle-nia rewolucyjnego szuka sobie takiego podłoża, jakie w da-nej chwili historycznej dominuje. Sekciarze, wychowani na Starym Zakonie, spowodowali przewrót rewolucyjny w An-glii za czasów Kromwell'a, francuzi z końca XVIII wieku właśnie z historii Grecji i Rzymu czerpali swe natchnienia

rewolucyjne, tak że nie tylko wzory starożytne starano się przeszczepić do ustroju politycznego, ale nawet naśladowano świat starożytny w ówczesnych modach ubiorów kobiecych. Przeciwnie, za moich czasów młodzieńczych kierunek wychowania klasycznego uważany był za więcej prawomysłny od kierunku przyrodniczo-matematycznego. Matematyki jednak nas uczono, a jak nawet wyżej zaznaczyłem, uczono wcale dobrze, natomiast nauki przyrodnicze zostały prawie zupełnie — jeśli nie liczyć fizyki, która jednak była traktowana nie tyle doświadczalnie, co spekulatywnie — usunięte z programu przedmiotów gimnazjalnych. Pierwszym więc stopniem uświadomienia przyszłego działacza politycznego było zaznajomienie go z pewnym minimum nauk przyrodniczych. W programie czytania, jakie obowiązywała młodego konspiratora, był szereg popularnych broszurek z chemji, botaniki, zoologii, geologii, paleontologii. Szczególny nacisk kładli starsi uczniowie, uświadamiający młodszych kolegów, na dwie ostatnie dziedziny wiedzy: geologję i paleontologję, żeby dowieść bezpodstawności twierdzeń biblijnych o istnieniu świata od niespełna 6000 lat i tym sposobem podważyć autorytet urzędowych pedagogów. Następnie studjowaliśmy zoologję, a głównie teorię ewolucyjną Darwina, popularyzowaną w odpowiednich broszurkach. Do kanonów wiedzy uprawianej w kółkach należało przestudjowanie popularnej broszurki Heilperna o powstawaniu światów, gdzie w błyskotliwy sposób została przedstawiona hipoteza Kanta-Laplace'a. Gdy te główne arkana ówczesnej wiedzy przyrodniczej były przez nas, jak to mówią, po łebkach chwyczone, traktowano nas antropologją, która była niejako wstępem do właściwych nauk społeczno-politycznych. W owe czasy bardzo była popularna wśród młodzieży siedleckiej antropologja Taylor'a w tłumaczeniu polskiem, wydana nakładem ówczesnej postępowej „Prawdy”. Przeczytanie tej książki obowiązywało każdego szanującego się ucznia, jak swego czasu starsze od nas pokolenie — pokolenie pozytywistów — za swój obowiązek uważało studjowanie dzieł Comte'a, Spencer'a,

Buckle'a, J. St. Mill'a i innych. Nas obowiązywał Taylor, następnie Sieber — autor studjum o kulturach pierwotnych (czytaliśmy go zwykle w tłumaczeniu rosyjskim), Draper'a dziełko pod tytułem: „Dzieje stosunku wiary do rozumu“, Lubbock'a etnologia ludów pierwotnych, wreszcie popularne broszurki z zakresu ekonomji politycznej. Szczytem wykształcenia było przestudjowanie Ekonomji politycznej Iwaniukowa w tłumaczeniu polskim, na co zdobywały się jednostki wyjątkowo ambitne, które z wielkim przymusem wbijały w swoje głowy tak nieodpowiednie dla młodocianego wieku suche wywody rosyjskiego ekonomisty. Czytanie wyżej wymienionych dzieł miało za zadanie przygotować umysły ówczesnej młodzieży polskiej do przyjęcia powszechnych wtedy dogmatów socjalistycznych, rozpowszechnianych głównie przez niemieckich uczonych, mianowicie, że pierwotny ustrój ekonomiczny był to ustrój komunistyczny, że całe dzieje ludzkości jest to właściwie historia ustrojów ekonomicznych, że w wyniku współczesny nam ustrój kapitalistyczny ustąpić powszechnie musi ustrojowi socjalistycznemu, który zaprowadzi istny raj na ziemi, obrazowo przedstawiony w powieści amerykańnika Bellamy'ego: „W roku 2000-ym“. Książka ta została wydana nakładem tygodnika „Głos“.

Dla urabiania światopoglądu w zaznaczonym kierunku zakładane były kółka samokształcenia, które praktycznie jednak wykraczały poza ustawowo przepisane ramy. Poza książkami, mającemi wyrobić w umysłach naszych materialistyczny pogląd na dzieje, czytaliśmy chętnie książki z zakresu historii Polski i wybitniejsze dzieła z literatury polskiej i obcej. Często tak bywało, że znudzeni suchymi wywodami dogmatyków socjalizmu, z tem większą chciwością rzucaliśmy się do czytania książek o treści historycznej i literackiej. Co do mnie osobiście, to nigdy nie podzielałem przekonań socjalistycznych, jakkolwiek chętnie starałem się czytywać utwory pisane z tendencją socjalistyczną dla możliwości polemizowania z kolegami, którzy z zapałem przejmowali się ideami socjalistycznymi w ogólności, a marksizmem

w szczególności. Nie raz udawało mi się pobijać w szermierce słownej kolegów-socjalistów, posiłkując się pismami z ich własnego obozu. Wcześniej już zauważyłem, że teorie socjalistyczne miały w sobie dużo sprzeczności, i że skutkiem tego nie było kraju, gdzieby socjalizm rychło nie podzielił się na wrogie obozy, zwalczające się zawzięcie. Czytując pisma i broszurki różnych kierunków socjalistycznych, można było bez wielkiego wysiłku myślowego zaczerpnąć z ich wzajemnych polemik wiele argumentów, zwróconych wogóle przeciwko socjalizmowi.

Źródłem, zasilającym całą tą naszą pracę samokształceniową, była biblioteka, która z natury ówczesnych stosunków musiała być tajną. Tajność ta była dwustopniowa: dla książek, dopuszczonych przez ówczesną cenzurę rządową do sprzedaży w księgarniach publicznych, tajność była względna, i korzystanie z książek tej nawpół tajnej biblioteki było stosunkowo łatwe. Dla książek nielegalnych, których przechowywanie mogło narazić na konflikt z żandarmerją, tajność była ścisła, otrzymywanie takich książek było utrudnione i tylko nieliczni wtajemniczeni byli dopuszczani do korzystania z tych źródeł wiedzy zabronionej. Z punktu widzenia ówczesnych władz szkolnych czytanie nawet legalnych książek polskich było czynem karygodnym, a cóż dopiero mówić o czytaniu lub przechowywaniu książek niecenzuralnych! Za taką zbrodnię groziło wydalenie z tak zwanym „wilczym biletem” pozbawiającym prawa do dalszego kształcenia się w jakimkolwiek bądź zakładzie naukowym, położonym na obszarze państwa carów. Kolportowanie książek wśród kolegów odbywało się metodą, przyjętą zdaje się już w odległych czasach przez różnych spiskowców i konspiratorów za pośrednictwem paru „wtajemniczonych”, którzy komunikowali się z bibliotekarzem, mającym dostęp do kryjówek, gdzie były przechowywane książki. Kryjówki te od czasu do czasu były zmieniane dla tem trudniejszego ich wytropienia. Za moich czasów „wtajemniczonymi” ze starszej generacji byli: † Dr. Józef Kuć, Seweryn Krzemieniewski (obecnie profesor Uniwersytetu

Lwowskiego), † Edward Sztrumf, † Władysław Białobrze-
ski, Aleksander Małachowski, a z moich współczesnych:
Konstanty Axamitowski, Leon Choromański, Edward Chwa-
lewik i paru innych. Ilość książek w naszej tajnej bibliote-
ce była niewielka. Dochodziła zaledwie do 300 tomów. Ka-
talogów unikano ze względów konspiracyjnych, co ogromnie
utrudniało kontrolę książek. Wiele też dzieł było zdekom-
pletowanych, skutkiem bądź to złej woli, bądź to nieprzy-
jaznych okoliczności. Obecna młodzież nasza, kształcona
w warunkach dla rozwoju poczucia narodowego jak naj-
przyjaźniejszych, być może lekceważy sobie te wysiłki star-
szego pokolenia w podtrzymywaniu słabego promyka oświa-
ty narodowej, jakie myśmy robili, ale trzeba wyobraźnią
przenieść się w te, na szczęście bezpowrotne już czasy, kie-
dy to za przyłapanie na czytaniu 3-ej części „Dziadów”,
uczeń dostawał przedewszystkiem „wilczy bilet”, a często
nawet musiał jeszcze odsiadywać karę w więzieniu.

Te surowe kary sprawiały, że konspiracyjność naszych
kółek uczniowskich musiała być ściśle przestrzegana, że dla
zebrań dyskusyjnych musieliśmy unikać stancji uczniow-
skich, natomiast posiłkować się w tym celu nielicznymi mie-
szkaniami prywatnymi osób, sympatyzujących z pracą niele-
galną, skierowaną do walki z ówczesnym rządem rosyjskim,
co, rozumie się, mogło narazić te osoby na przykre konsekw-
wencje. Częste zbierania się w jednych i tych samych
mieszkaniach mogłyby obudzić podejrzenie władz, to też
nierzadko, gdy niebo było łaskawe, zbieraliśmy się w oko-
licznych lasach podmiejskich, jak Sekulski, na Rozkoszy,
pod Iganiami i t. p. Dla upozorowania niewinnego celu
wycieczki braliśmy z sobą zapasy żywności, a czasem i nie-
jedną butelkę piwa, — z czym trzeba było również kryć się
i przed najbliższem otoczeniem, które mogłoby upatrywać
w tem jakieś zdrożne pijatyki i hulanki.

Nielegalne kółka uczniowskie istniały we wszystkich
prawie gimnazjach b. zaboru rosyjskiego, lecz związek po-
między nimi ze względów bezpieczeństwa był podtrzymy-
wany tylko przez jednostki wybrane, czyli t. zw. delegatów.

Takim łącznikiem pomiędzy kółkiem siedleckim a kółkami warszawskimi był za moich czasów zmarły niedawno Zygmunt Jastrzębski, minister finansów, ówczesnie uczeń V Gimnazjum Warszawskiego, które przez długi czas prym trzymało w nielegalnym ruchu uczniowskim.

Konspiracyjna praca w kółkach uczniowskich przyczyniała się do ogólnego rozwoju inteligencji młodej ówczesnej generacji, do budzenia w młodzieży myśli politycznej, do rozwijania w niej oporu przeciwko russyfikacyjnej dążności rządu rosyjskiego, pociągała ona jednak za sobą i ujemne skutki. Przedewszystkiem szerzyła zbytni radykalizm społeczny i lekceważenie tradycji narodowych. Szczególniej w Gimnazjum Siedleckim ten skrajny radykalizm, czerpiący swe soki ze źródeł rewolucyjnych rosyjskich, o czym powyżej była mowa, zapanował w umysłach przeważnej części ideowej młodzieży polskiej. Przekonałem się o tem naocznie później, już jako student Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie w ówczesnym „kole” grupa siedlecka składała się prawie wyłącznie z wyznawców ortodoksalnego marksizmu, zabarwionego w silnym stopniu rosyjskim anarchizmem. Drugą ujemną cechą tej pracy uświadamiającej w kółkach uczniowskich było wprowadzanie rozdzwiewu i antagonizmów do rodzin i całego inteligentnego społeczeństwa polskiego. Radykalizm przekonań polityczno-społecznych prowadził do lekceważenia norm obyczajowych, etycznych i religijnych. Potrzeba konspirowania pociągała za sobą potrzebę ukrywania swoich czynów przed starszymi, a więc prowadziła do kłamstwa, wykrętów i w ogóle do obniżenia poziomu etycznego. Wreszcie ujemnym skutkiem życia konspiracyjnego w kółkach uczniowskich było osłabienie uczuć koleżeńskich wśród całej ówczesnej inteligentnej młodzieży polskiej, gdyż zakonspirowani wydzielali się w pewną grupę uprzywilejowanych we własnym mniemaniu jednostek, mających prawo do pewnego lekceważącego traktowania nie wciągniętych do życia konspiracyjnego kolegów. Ci to odczuwali, i stąd już na ławie szkolnej wśród kolegów powstawały antagonizmy partyjne, tak ujemnie oddziały-

wujące na psychikę polską. Te uczniowskie i studenckie nałogi pracy konspiracyjnej fatalnie zaważyły w następstwie na życiu politycznym polskim już w odrodzonej Ojczyźnie, przyczyniając się do wzmożenia naszego partyjnicstwa i rozbicia społeczeństwa na zwalczające się zażarcie obozy. Jednym słowem „liberum conspiro”, tak jak swego czasu „liberum veto”, ujemny wpływ wywarło na kształtowanie się psychicznego typu polskiego.

Ale wróćmy do spraw gimnazjum Siedleckiego. Areszty i śledztwa polityczne wśród uczni gimnazjum V w Warszawie w końcu 9-go i na początku 10-go dziesiątka ubiegłego stulecia obudziły czujność władz prowincjonalnych. Dyrektor Abramowicz dowiedział się od miejscowych żandarmów, że poważne poszlaki wskazują na istnienie tajnej biblioteki wśród uczni Gimnazjum Siedleckiego. Postanowił on więc wtedy za wszelką cenę wykryć tę „kramołę” i oczyścić zakład, na którego czele stał, od elementów „niebłahonadziejnych”. Wydał tedy rozporządzenie wszystkim nauczycielom i pedlom, by częściej odwiedzali stancje uczniowskie i pilnie przeszukiwali półki z książkami w poszukiwaniu zakazanych książek polskich. Jak to już wyżej zaznaczyłem, w owe czasy dla ucznia Gimnazjum Siedleckiego każda książka polska była przez władze szkolne zakazaną. Gdy ten środek nie dał na razie żadnych konkretnych wyników, chwycono się środków ostrzejszych. Było to na początku 1891 roku. Pewnego dnia wszyscy uczniowie polacy z trzech wyższych klas: VI, VII i VIII, tudzież niektórzy inteligentniejsi z kl. V otrzymali zawiadomienie, by stawili się w ważnej sprawie o g. 5-ej po południu do gmachu gimnazjalnego. Przez kogoś z uczciwszych nauczycieli, zdaje się przez ówczesnego prefekta ks. Szyszkowskiego, byliśmy uprzedzeni, że będą nas badać w sprawie tajnej biblioteki. Naprędce zmówiliśmy się — o ile na to krótkość czasu pozwalała — by żadnych zeznań nie składać, wyprzec się najsolennie wszelkiego udziału a nawet wiadomości o jakiejś w ogóle bibliotece, kategorycznie twierdzić, że o żadnej organizacji tajnej nic nam nie wiadomo, że w ogóle żadnych polskich

książek nie czytamy wcale. O wyznaczonej godzinie zebra-
no nas w słabo oświetlonej auli gimnazjalnej, gdzie były po-
rozstawiane oddzielne stoliki z krzeselkami tak, jak to zwy-
kle robiono podczas piśmiennych egzaminów maturalnych.
Po pewnym czasie wyszedł dyrektor Ab-cz w otoczeniu
inspektora Liwotowa i paru pedli i w napuszonej mowie jał
nas nauczać, że źli ludzie starają się szerzyć „kramolę”
wśród młodzieży, że utrzymują bibliotekę z książkami zaka-
zanej treści, że władze rządowe wszystko już właściwie
wykryły, winni będą ukarani, ale że szczerze przyznanie się
do winy i wskazanie tych, co na złą drogę młodzież wcią-
gali, stępi znacznie ostrze kary, a nawet sprawi, że ta kara
może być nawet zupełnie darowana. W razie zapierania się
i ukrywania śladów przestępstwa rząd będzie bezlitosny,
nie tylko winnych i tych co ukrywali winnych wydali z gim-
nazjum, ale nawet zeszele na Sybir lub skarże na katorgę. Po
tem przemówieniu dyrektor podzielił wszystkich nas zebra-
nych na dwie grupy, gdyż ilość stolików nie wystarczała dla
posadzenia nas wszystkich odrazu, — i rozdał każdemu
z nas kwestjonarjusz okolicznościowy, zawierający cały sze-
reg pytań, a więc naprzód stan rodzinny, wpływy domowe,
skąd bierze książki do czytania, czy nie pożyczał książ-
zek ubocznych, czy nie słyszał o istnieniu biblioteki polskiej
wśród uczni etc. etc. Zgodnie z zawartą uprzednio wza-
jemną umową pisaliśmy odpowiedzi kwestjonarjusza w ten
sposób, że nic nie wiemy, o niczem dotyczącem biblioteki
polskiej nie słyszeliśmy, żadnych polskich książek nie czy-
tujemy. Gdyby kto teraz wyciągnął z dawnych archiwów
te nasze na ów kwestjonarjusz odpowiedzi — o ile się one
zachowały — i chciał na ich podstawie sądzić o stanie umy-
słowości ówczesnej młodzieży Gimnazjum Siedleckiego, do-
szedłby do przekonania, że tam wtedy był jakiś specjalny
dobór matolków, którzy poza lekcjami szkolnemi niczem się
więcej nie interesują. Tak jednak nie było. Przeciwnie,
powiedziałbym raczej, że ta walka podziemna, te zakazy
oficjalne, te prześladowania patryjotycznej myśli polskiej,
tem droższą nam robiły w duszach naszych ojczyznę i wszy-

stko co swojskie, i że tym sposobem rozkładowe wpływy socjalizmu międzynarodowego nie zrobiły takiego spustoszenia w naszych sercach, jak to się stało nprz. z młodzieżą rosyjską, z której powstała owa apatyczna, owa głucha na hasła patriotyczne, owa skosmopolizowana inteligencja, co już nie w stanie była bronić się przed potopem bolszewickim i uległa wrogom swego narodu prawie bez walki.

Wynik więc szeroko zakreślonego kwestjonariusza był na razie dla władz gimnazjalnych ujemny, jednak po starannem przestudjowaniu naszych odpowiedzi dyrektor przyszedł do przekonania, że poza zwartą zakonspirowaną grupą uczni, którzy zmówieni pisali jak na komendę jednakowo ujemne odpowiedzi, nie dające żadnych nici do dalszego śledztwa, — są jednostki słabsze, uleglejsze, które przy energicznym nacisku coś niecoś wyśpiewają. W postępowaniu tedy dalszego śledztwa każdy z nas był wywoływany osobno do dyrektora, i tam zaczęła się ustna indagacja. Szczególniejszy nacisk był położony na badanie uczni młodszych w tem słusznem mniemaniu, że starsi, jako więcej ztwardziali grzesznicy, nie łatwo dadzą się sterroryzować. Jakoż w parę dni rozeszła się pogłoska — dotychczas nie jestem pewien słuszną czy niesłuszną — że jeden z kolegów, ucz. kl. VI, syn urzędnika państwowego, „zasypał się” i na badaniu nie okazał należytej odporności, przyznając się, że czytał polskie książki i że otrzymywał je od ucz. VII kl. Władysława Białobrzeskiego, syna właściciela młyna pod Siedlcami. Rzeczywiście część naszej biblioteki była u tego ostatniego na przechowaniu. Powiadam część, gdyż ze względów bezpieczeństwa nigdy biblioteka nasza nie była przechowywana w jednym miejscu. Inna wersja pogłosek co do oskarżenia Białobrzeskiego, twierdziła, że źródłem pierwotnem był donos któregoś z kolegów rosjan. W wyniku całego śledztwa, które jednak nie doprowadziło do wykrycia biblioteki, gdyż indagowany Białobrzeski wszystkiego się wyparł, a przeprowadzona rewizja w jego mieszkaniu — mieszkał wtedy u państwa Roszkowskich na kondycji jako korepetytor ich dzieci — biblioteki nie znalazła,

nastąpił surowy wyrok: Białobrzeski został wydalony z gimnazjum z t. zw. „wilczym biletem“, nas wszystkich uczni starszych klas, osadzono na różne terminy w kozie, od 6 do 18 godzin. Ja odsiedziałem 12 godzin w dwóch porcjach po 6 godzin.

Po długich staraniach w parę lat później udało się Białobrzeskiemu uzyskać pozwolenie od ówczesnego Ministra oświaty Deljanowa, podczas jego wizytacji szkół w Kongresówce, na dokończenie swego średniego wykształcenia w Gimnazjum Radomskim.

Taki przebieg miały wypadki, związane ze słynnym „wykryciem“ tajnej biblioteki uczniowskiej w Siedlcach. Biblioteka właściwie nie została wykryta. Książki polskie w dalszym ciągu krążyły wśród nas, zachowywaliśmy tylko powiększoną ostrożność. Ofiarą padł tylko jeden kolega Białobrzeski, nie licząc krótkotrwałego aresztu starszych uczni w murach gimnazjalnych i zmniejszenia im stopni ze sprawowania. Gorszy wynik miało wykrycie biblioteki w Płocku, które nastąpiło na parę lat przed naszą Siedlecką sprawą. Tam trzech kolegów z Chmielińskim na czele otrzymało „wilcze bilety“, kilkunastu zostało relegowanych. Z liczby tych ostatnich trzech, a mianowicie Płoski, Budkiewicz i Ossowski wstąpili do Gimnazjum Siedleckiego i tam uzyskali maturę w r. 1891.

Rosyjskie władze szkolne przywiązywały wielką wagę do wykorzenia wśród uczni czytelnictwa książek polskich, zwłaszcza pochodzących z tajnych bibliotek. To też dla odstraszenia charakterów słabszych wyroki z karami wydalania z „wilczym biletem“ były odczytywane po wszystkich ówczesnych gimnazjach z zastosowaniem ceremonjału, przypominającego czasy z r. 1863. Oto ustawiano uczni klas starszych w czworobok, do środka wchodził dyrektor z asystą i odczytywał wyroki o spełnionych „zbrodniach“ z wymienieniem nazwisk winowajców i kar, jakie ich dotknęły.

Te obrazy z dawno minionej przeszłości stanęły mi w pamięci podczas ceremonjału, urządzonego przez zaborcze austrijackie wojska w r. 1917 w osadzie fabrycznej pod

Juzówką (Węglowe Zagłębie Donieckie), dokąd mnie losy z rodziną zagnały czasu Wielkiej Wojny. Spędzono całą ludność męską w czworobok, oficer austriacki ogłosił o zabójstwie żołnierza, spełnionem na terytorjum osady przez niewiadomego sprawcę, i o karze kontrybucji, jaka została nałożona na całą ludność za to, że winowajca nie został złapany na gorącym uczynku.

Ale wróćmy do spraw Gimnazjum Siedleckiego. Jak widzimy tryumf dyrektora był tylko połowiczny. Nie ustawał on więc w zabiegach i wszelkich sposobów używał, aby ową tajemniczą bibliotekę wykryć. Wszyscy nauczyciele mieli surowy rozkaz śledzenia, kto czytuje i skąd bierze do czytania polskie książki. Na tem tle dochodziło czasami do groteski. Byłem uczniem kl. VII, gdy raz na lekcji języka greckiego jeden z moich kolegów W. Samulik napisał do mnie kartkę o zwrot jakiejś pożyczonej książki. Karteczka była pisana po polsku — gdyż innego języka rozumie się w wewnętrznym życiu koleżeńskim nie używaliśmy, — ołówkiem i dość niewyraźnie. Podczas przesyłania tej kartki przez usłużnych kolegów zauważył ją nauczyciel Red'ka i jako kontrabandę przejął. Rzucił okiem na karteczkę i grzmi swoim stentorowym głosem, zwracając się do mnie: „Kakuju eto filozofju Frankera wy czytajecie?” Oszołcmiony wstaję i odpowiadam, że o żadnej filozofji Frankera nie słyszałem. Red'ka zaperzony zrywa się z miejsca i wali wprost ku mnie, żąda wydania tornistra, przeszukuje, bada, zagląda pod ławkę, lecz nic, coby mogło być podejrzanem w oczach zwierzchności, nie znajduje. Wreszcie pokazuje mi przyłapaną karteczkę i każe tłumaczyć treść jej. Czytam, że kolega S., tytułując mnie „filozofie Franku” (takie było moje ówczesne wśród kolegów przezwisko), prosi o zwrot pożyczonej książki, która, jak to tłumaczyłem rozmachanemu pedagogowi, była podręcznikiem w języku urzędowym, nie podpadającą pod żadne zakazy. Wyrziliem przytem wątpliwość, czy wogóle kiedykolwiek istniał taki filozof Franker. Za to zostałem sfukany i posadzony na miejsce. Widoczną swoją konfuzję pedagog starał się

pokryć gniewem. Po przyjsciu do domu dowiedziałem się, że wnet po zajściu został delegowany jeden z pedli, najsprytniejszy z nich, niejaki Romański, vulgo Śliwka, i ten starannie przeszukał moje rzeczy i książki w poszukiwaniu owej „filozofji Frankera“.

W tymże roku miałem drugie już mniej groteskowe zajście.

Jak już zaznaczyłem, biblioteka nasza była podzielona na części i przechowywana w różnych kryjówkach, znanych tylko nielicznym wtajemniczonym. Zwykle brali na przechowanie książki ci z kolegów, którzy mieli rodziców w samym mieście, gdyż władze szkolne nie miały dostępu i nie mogły przeprowadzać rewizji w mieszkaniach osób prywatnych; ich inspekcji podlegały tylko pokoje uczniowskie. Jednym z bibliotekarzy, którzy przechowywali książki po skończeniu się sprawy Białobrzeskiego, był nprz., Ed. Chwalewik. Pamiętam, jak czasami schodziliśmy się w mieszkaniu jego rodziców na różne dyskusje, które z natury rzeczy nie było bezpiecznie prowadzić na stacjach uczniowskich. Jednak w Siedlcach — mieście wyłącznie prawie urzędniczem — mało było wśród mieszkańców chętnych, chcących narażać się władzom przechowywaniem zakazanej przez władze ówczesne biblioteki. Otrzymanie pozwolenia legalnego na wypożyczalnię książek, nawet legalnych i przez cenzurę rosyjską zaaprobowanych, było wtedy bardzo utrudnione, to też każdy liczył się z tem, że w razie wykrycia u niego biblioteki, a w dodatku jeszcze uczniowskiej, ponieśćby musiał smutne konsekwencje. Wobec tego z konieczności trzeba było czasami przechowywać książki naszej biblioteki i na stacjach uczniowskich. Część ich przechowywałem u siebie w dużym płaskim koszu, pod łóżkiem. Dla niepoznaki książki przykryłem na wierzchu białą bielizną. Pamiętam, raz wieczorem, po godzinie 10-ej, kiedy już nie spodziewałem się wizyty żadnego ani z pedli, ani z gorliwszych pedagogów, siedziałem zatopiony w czytaniu nad grubą księgą. Były to dzieła zbiorowe biskupa I. Krasickiego w pysznem wydaniu wiedeńskiem. Naraz czuję, że

jakaś dłoń zlekka z tyłu mnie dotyka. Podnoszę głowę i widzę okrągłą gęsto owłosioną twarz nauczyciela matematyki tatara Mamulewicza-Mejdana-Ogłu. Zmartwiałem. — „Czto wy czytajecie”? W odpowiedzi pokazałem kartę tytułową dzieła. O Krasickim p. syn *) Mejdana rozumie się nie słyszał, zwrócił tylko uwagę, że wydanie jest wiedeńskie, a więc bez cenzury rosyjskiej. Jałem obszernie wywodzić, że Krasicki — pisarz z końca XVIII w. z epoki pseudoklasycyzmu — o żadne tendencje antypaństwowe nie może być posądzony. W wyniku moich wywodów Mejdana-ogłu siadł przy stole, zażądał zwykłego dziennika wizyt, ujął za pióro i zaczął się namyślać. Z zapartym tchem oczekiwałem wyroku życia lub śmierci cywilnej. Przykład Białobrzeskiego, skazanego na wydalenie z „wilczym biletem” działał na mnie terroryzująco. Po długim wreszcie namyśle Manulewicz jął pisać. Z za ramion jego wyczytałem: „Był i wsio naszoł w poriadkie”. Odetchnąłem. „Pocziwy tatar” pomyślałem. Z rozczulenia gotów byłbym rzucić mu się na szyję. Rozstaliśmy się po bardzo serdecznym uścisku dłoni. Jednak przy samem rozstaniu zauważyłem na jego ustach jakiś podejrzany uśmiech. Nazajutrz poszedłem do gimnazjum. Lekcje zeszły jak zwykle. Wszelkie obawy moje pierzchły i w wesołym nastroju wracałem do domu. Na samym progu spotkała mnie właścicielka stacji pocziwa pani Tch. z wyraźnem przerażeniem w oczach. „Panie Franciszku, puścili pana wolno?” — Co się stało?”, spytałem zdziwiony. — „Jakto, nic pan nie wie?” — Nic nie wiem”. — „A toż ten Romański był tu u nas i zrobił szczegółową rewizję. Szczęściem naszym zobaczyłam go przez okno zdaleka i wraz z Marysią wywindowałyśmy kosz z pańskimi książkami na strych. Nic nie znalazł ten pies gończy. A myszkował, a przewracał po parę razy wszystkie pańskie rzeczy. Szukał i na półkach i pod łózkami i w bieliźnie i w pościeli nawet, ale nic nie znalazł”. Pocziwość tatara

*) Po tatarsku — syn = ogłu, odpowiada germańskiej końcówce w nazwiskach „sohn”.

stała przede mną wtedy w innym nieco oświeceniu, niż wieczora poprzedniego.

Dalszy mój pobyt w gimnazjum nie obfitował w jakieś ciekawsze dla ogółu wypadki. Dotknęła mnie temi czasy (maj 1891 r.) wielka strata. Zmarł nasz kochany ojciec i cała moja rodzina znalazła się w ciężkich warunkach materialnych. Ukończenie gimnazjum w jak najprędszym czasie stało się dla mnie najpierwszą koniecznością. A tu czułem na każdym kroku podejrzliwość zwierzchności szkolnej i chętkę złapania mnie na jakimkolwiek czynie nielegalnym wobec władz. W podobnym położeniu było i wielu moich kolegów. Zbieraliśmy się rzadko i to w małych ściśle dobranych kółkach. Na miejsce zebrań wyznaczaliśmy punkty dalekie, poza miastem, najczęściej w okolicznych lasach, pod Rozkoszą lub Sekułą. Pamiętne mi zawsze będą te dalekie wycieczki, kiedy to w drodze deklamowaliśmy sobie ustępy z poezji wielkich romantyków naszych. Celował w tem L. Choromański, któremuśmy wtedy wróżyli wielką przyszłość literacką.

W gimnazjum ostry system rusyfikacyjny coraz to się wzmacniał. Lekcje gimnastyki na wielkiej pauzie zastąpiono musztrą wojskową pod kierunkiem zawodowego oficera. Jednym z gorliwszych był kapitan artylerji Urazow. Ten w czasie musztry często kazał nam maszerować i śpiewać piosenki żołdackie, jak nprz.

„Tri dierewni, dwa sieła,
Wosiem diewok, odin ja”... i t. d.

Pamiętam śmieszny epizod z tego okresu. Wpadł raz dyr. Abramowicz na myśl, może z rozkazu władz wyższych, by w jakiś galowy dzień państwowo odbyła się uroczysta rewja uczniowska na placu przed cerkwią. Było to wczesną wiosną. Pogoda była ohydna. Padał śnieg z deszczem. Błoto było wstrętne, a tu już dnia poprzedniego był surowy rozkaz, żeby wszyscy uczniowie starszych klas nemine excepto stawili się na popis przed gimnazjum na 9-ą rano. Rewja miała się odbyć dopiero po nabożeństwie w cerkwi,

o 12-ej w południe, na placu cerkiewnym, ale p. kapitan chciał nas uprzednio poćwiczyć, żebyśmy mu wstydu nie narobili na samym tym przeglądzie. Dla wprowadzenia nas w elastyczny równy marsz, poprowadzono nas w pole, za miasto, aż pod samą Sekułę. Tam na obszernym placu, grzęznąc w błocie po kostki, maszerowaliśmy to dwójkami, to czwórkami, to wreszcie całą rozwiniętą linią. Po paru godzinach tych ewolucji wyglądaliśmy jak maruderzy z armji Napoleona przy odwrocie z Moskwy. Wreszcie podeszliśmy w szyku możliwie uroczystym na plac pod cerkiew. Po ustawieniu nas w szeregi kapitan zauważył, że na tle rozwiniętego szyku źle się przedstawia sylwetka kol. B. Grabowskiego, którego zęby bolały i przeto obwiązał sobie swoją ładną zresztą buzię ogromnym jakimś białym ręcznikiem. Humor naszego dowódcy zepsuł się znacznie dzięki pogodzie, gdyż czuł, że „parad“ nie uda się. Wściekły podskakuje do kol. Grabowskiego i wrzeszczy: „— Czo wy tak prinaradiliś?“ — „Zuby boliat“ — brzmi odpowiedź. „Jeśli wy bolny, to ubirajties' k czortu“. — „Słuszajus“ — wykrzykuje z radością kochany Benio, wykręca się na pięcie i w nogi. — „A mozet jest jeszcze bolnyje“? woła w pasji oficer. „Kto bolen, pust' idiot k czortu“. Na te słowa bez żadnej uprzedniej zmowy pędem rozbiegliśmy się na wszystkie strony. Rewja się nie odbyła.

Wytężone usiłowania zrusyfikowania polskiej młodzieży gimnazjalnej, z taką gorliwością powtarzane przez cały szereg lat, nie dały żadnych dla rządu rosyjskiego dodatnich wyników. Przeciwnie, zakazana książka polska stawała się tem droższą dla nas. Braki teoretycznej znajomości języka, historii i literatury ojczystej dopełnialiśmy drogą samokształcenia. Publicznie ogłaszane wyroki i kary roznosiły wieści o nielegalnych bibliotekach do tych zakątków kraju, gdzie dotychczas ich nie znano, i młodzież miała pobudkę do zakładania tych bibliotek tam, gdzie ich przedtem nie było.

Gdym kończył gimnazjum (rok 1893) już zaczynały się świty nowej myśli politycznej w Polsce. Sam socjalizm, któ-

ry dotychczas nosił w kraju naszym piętno wybitnie międzynarodowe, począł wtedy ewolucjonizować, i w rok później powstała Polska Partja Socjalistyczna, która poza celami przewrotu ekonomicznego wysunęła również, jako cel — dążenie do niepodległości narodu. Prądy narodowe zaczęły również już się konsolidować. W roku 1891 odbyła się pierwsza po powstaniu 1863 roku publiczna manifestacja polityczna w d. 3 maja. Blisko 3 lata później, w d. 4 kwietnia 1894 r. odbyła się manifestacja ku czci Kilińskiego. Rodził się kierunek narodowo-demokratyczny, który wkrótce potem odegrał tak wybitną rolę w życiu politycznym naszego narodu i który dotychczas skupia pod swoim sztandarem najliczniejsze rzesze naszego narodu. Okres narodzin tego kierunku przypadł już na moje czasy uniwersyteckie.

Prof. Tomasz Siemiradzki

Z MOICH WSPOMNIENIŃ O SIEDLCACH

(1880 — 1)

Wybrałem Siedlce, bo niedaleko stąd było do Warszawy. Dwie godziny koleją i już mogłem błędzić po ulicach stolicy Polski. Warszawa była dla mnie tym światem czarowanym, o którym marzyłem. Urodzony na kresach, w czasie gdy mało kto jeździł z Nowogródka do Warszawy, znałem Petersburg; wychowany ostatnio w Niemczech znałem Lipsk, Drezno i Berlin, a nie znałem Warszawy jak tylko z książek i z opowiadań.

Gdy po złożeniu w Lipsku egzaminu stawiłem się w Petersburgu przed zwierzchnikiem wszystkich zagranicznych stypendystów ministerstwa oświaty — tajnym so-wietnikiem Gieorgiewskim, spytałem go z miejsca, gdzie i jak mam odsłużyć swoje sześć lat, po dwa lata za rok stypendjum, jak wymagało prawo. — Masz pan wolny wybór — odpowiedział. — Jest miejsce w Nowogrodzie, będzie za parę tygodni w Petersburgu, i są trzy miejsca w Warszawskim Okręgu — w Siedlcach, w Kielcach i w Łomży. — Wybrałem Siedlce.

Poświęcając się nauczycielstwu marzyłem o dostaniu się do okręgu wileńskiego, do Wilna, Mińska albo Słucka. Ale tu prawo było nieubłagane. Polak bez przyjęcia prawosławia nie mógł zostać nauczycielem gimnazjalnym w okręgach wileńskim i kijowskim. Dla otrzymania posady w jednym z czysto rosyjskich okręgów zmiana religji nie



Maturzyści 1880 r.

*Jan Kozłowski, Ilnicki, Koźmiderski, Krzyżanowski, Kulgawiec, Zakrzewski, Samborski,
St. Korabiewicz, Pióro, Łubkowski, Wroński, Stan. Bądzynski, Korycki*

była wymagana, chociaż, jak mi mówili, pomagała bardzo w karierze. Wystarczało dla Polaka tak zwane „wysoczaj-sze razieszenje” — najwyższe zezwolenie, o które zresztą nie było trudno wobec chronicznego braku w Rosji nauczycieli filologów i matematyków. Jeden tylko okręg warszawski był teoretycznie otwarty dla Polaków, chociaż kurator ówczesny, Apuchtin, Polaków nie przyjmował. Narzucił mnie Apuchtinowi prawie przemocą Gieorgiewskij. Poczciwy ten, a niezbyt mądry Moskal ufał widocznie mojej srodze filologicznej minie i o żadne skłoności do polityki nie podejrzewał.

Poniekąd nie bardzo się mylił. Czulem się Polakiem i to bardzo intensywnie, ale tak się zakopałem w Lipsku w starożytnościach, że kwestja naprzykład homerowska stanowczo więcej mnie wtedy zajmowała, niż wszystkie razem z życia codziennego. A o sprawie polskiej jeszcze nie myślałem wtedy w terminach czynnej służby. Ot jakoś to przyjdzie kiedyś, niewiadomo jak, byle tylko doczekać.

Stawiłem się na służbę w pierwszych dniach września roku 1880-go. Pamiętam skromny ciasny gmach gimnazjalny, duży plac przed szkołą, naprzeciwko pałac gubernatorski, a z boku ogród należący do pałacu. Miasteczko sprawiło na mnie przygnębiające wrażenie. Małe, lichy zabudowane, niezbyt czyste, strasznie zamniejszościowione i nazewnątrz zruszczone.

Dyrektor Ponomarew, jak się zdaje, człowiek niezły, przyjął mnie dość dobrze. Imponowałem mu widocznie protekcją petersburską. Licho wie, myślał pewno, co z takiego młodzika może kiedyś wyrosnąć. Bywali z takich i ministry, gdy się umieli dobrze brać do rzeczy. Dwie tylko klasy były wolne — równoległe oddziały trzeciej i drugiej. Wsadzono mnie więc na łacinę do drugiej i na łacinę i grekę do trzeciej. Rozpoczęła się praca rutynowa, niewdzięczna, pozbawiona wszelkiego uroku. Uczyć małych chłopców niższej łaciny i początków greki i to jeszcze w nienawistnym dla nich obcym języku i reprezentować wobec nich

jakaś część tej maszyny rządowej, która gnębi cały naród, toćże to nie działalność, to katorga.

Ale rychło bardzo spostrzegłem, że jest tu coś poza łacińskimi konjugacjami i greckimi akcentami. Zauważyłem w oczach tych chłopców, oczach smutnych, tak jakoś tragicznie na świat patrzących, jakieś błyski niemej sympatii dla młodego nauczyciela. Miałem wtedy lat 21 i parę miesięcy. Nie innych uczyć takim, lecz samemu kształcić się w uniwersytecie, a poza nauką żyć pełnym życiem koleżeńskim z dorosłą młodzieżą. Ale cóż było robić? Pośpieszyłem się zanadto ze skończeniem swej filologii, trzeba więc cierpieć.

Spostrzegłszy, czyli raczej odczuwszy te sygnały sympatii, jakie były z ławek ku mojej katederze, zacząłem się zastanawiać. Co to jest? Czy im łacina nagle zasmakowała? Aż przyszła odpowiedź na to pytanie. Przyszła zniecka. Wszakże ja kocham tych malców, wszak dusza moja i serce rwie się ku nim, wszak ja pracuję nieświadomie nad ułatwianiem im tej ciężkiej nauki, nad łagodzeniem tego dzikiego, barbarzyńskiego systemu, którego sam jestem częścią. A oni to czują. Już mnie poznali, już zrozumieli, że mają przyjaciela, brata starszego w tym cichym, poważnym młodzieńcu, którego życie zakuło w mundur wroga i władzę mu dało nad nimi, władzę szkodzenia im, dokuczania, prześladowania, robienia kariery na ich łzach i cierpieniach. Czują, że będą ich bronić, walczyć za nich, że radbym nieba im przychylić, i dają mi do zrozumienia, że jestem jednym z nich, tylko nieco starszym. I oto zaczęło widocznie promieniować coś ze mnie na klasę, bo pewnego dnia nagle, bez żadnej widocznej racji i nawet bez żadnego na pozór sensu odezwał się z ławki jeden malec — dziś go widzę przed sobą, taki mały blondynek — my tu wszyscy polacy i katolicy. Rzeczywiście tak było. Prawosławnych i żydów, których zresztą było niewiele, pakowano do klas normalnych, a do paralelnych szedł naród upośledzony — polacy i katolicy.

Co to znaczy? Po co on mi to mówi? Zrozumiałem, że chcieli ośmielić mnie do siebie. Rób jak uważasz za dobre, rób śmiało, bądź nam bratem, my cię nie zdradzimy.

I cóż powiecie — w tej prawdopodobnie godzinie zmarł początkujący filolog, po którym panowie Georgjewscy spodziewali się wielkich rzeczy, być może nawet rozwiązania tajemnicy, w którym z ośmiu miast urodził się Homer, o ile wogóle taki greczyzna kiedyś się urodził, — zmarł mól książkowy, a jak sądzili inni—przyszły wielki urzędnik w ministerstwie oświaty, a powstał z popiołów rosyjsko-niemieckiego wychowania polski niepodległościowiec.

Siedlce ówczesne były dobrą kolebką dla takiego noworodka. Pachniało jeszcze w powietrzu krwią i dymami z Drelowa i Pratulina. Ludzie gwarzyli po cichu o strasznych rzeczach i o bohaterskich czynach. Wspominali nie tylko rok 1863, lecz nawet i owego Potockiego, co przed tyłu laty samotrzeć Siedlce dla Polski zdobywał.

Nie odrazu dała się starożytna filologja pobić nowoczesnej historji. Broniła się długo świeżemi wspomnieniami o tych wielkich mistrzach klasycyzmu, Ritchach, Ribekach, Curtiusach, Brugmanach, których mądrość podziwiał jeszcze przed rokiem w Lipsku młody stypendysta rosyjski, przeznaczony przez los na belferkę. Pracowałem nieraz wieczorami nad filologją klasyczną. Napisałem nawet wielce uczony komentarz do Antygony Sofoklesa w nadziei, że otworzy mi on drogę do Warszawy. Ale były to już ostatnie drgania starożytnictwa. Duch nieśmiertelny, duch bojowy Polski, rwącej się ku wolności, bił już we mnie z oczu tego młodego pokolenia, z którym zetknął mnie los tak niespodzianie. Brzmiał mi już w duszy nakaz narodu wielkiego, cierpiącego w niewoli, nakaz przesyłany temu zbłąkanemu przez tych najmłodszych.

Niezmiernie pomyślną dla mnie była okoliczność, że zachorował ciężko kolega Sierojczkowskij, rusin galicyjski, który wykładał łacinę w ósmej klasie. Gdy dyrektor zaczął biadać nad smutnym losem ósmaków, pozbawionych w prze-

dedniu niemal egzaminu maturalnego światłych usług tak zasłużonego męża, zgłosiłem się na ochotnika. Niech Sierojczkowski leczy się i bierze pensję, a ja będę za niego robić łacinę. Skoczyłem więc odrazu na najwyższy szczybel. Klasa ósma była mała, ale dobrze dobrana. Młodzież była już dojrzała, wyrobiona, poważna i jeszcze bardziej smutna, niż tamci młodszy. Więcej myśleli, więcej rozumieli, głębiej czuli, silniej cierpieli. Przyjęli mnie jak swego, jak brata. Miałem z nimi nawet trochę tej satysfakcji, jaką sprawia nauczycielowi gimnazjalnemu każde odstępstwo od rutyny na rzecz prawdziwej nauki. Korzystając z tego, że miałem czytać z klasą Cyserona *De Senectute*, a Cyseron uchodził urzędowo za filozofa, dałem ósmakom jako wstęp, dość obszerny przegląd greckiej filozofji. Nic wprawdzie nie łączyło Cyserona z Thalesem, Empedoklesem, albo Arystotelesem, ale pretekst był dobry i satysfakcja olbrzymia.

Dobiegł końca pierwszy mój rok służby nauczycielskiej. O ile z początku byłem trochę wystraszony nowością obowiązków, o tyle teraz, po dziesięciu miesiącach czułem się już doskonale. Robiłem plany na przyszłość. Myślałem o tem, jak wejść w życie wewnętrzne tej drogiej młodzieży, jak będę się dzielić z nią pokryjomu mojami myślami i uczuciami i sam czerpać pełną dłońią ze skarbcza dusz ich czystych, szlachetnych, świętym ogniem płonących.

Los rozrządził inaczej. Podczas wakacji, które spędzałem w Nowogródku u rodziców, przeniósł mnie Apuchtin do Kielc. Wiadomość urzędowa o tem przeniesieniu doszła mnie właśnie w chwili, gdy rozwijałem, jak to pamiętam doskonale, przed starym ojcem plany organizowania wśród młodzieży siedleckiej życia poza szkolnego, jak je rozumiałem — Ot masz twoje plany, mruknął ojciec, strapiiony widokiem mojego smutku. Zabolalo mnie to przeniesienie, jakby jaka wielka klęska, jak bitwa przegrana. Ale po chwili ojciec przemówił już całkiem wesoło: albo

to Kielce co gorszego? Toć i tam są polacy, a że blisko Krakowa, to pewno będzie dobrze.

Z byłych moich uczniów z ósmej klasy pamiętam najlepiej ś. p. Wacława Męczkowskiego i Bądryńskiego Stefana. Z klasy trzeciej pamiętam Kasperowicza, Dębińskiego, Jakimiaka, Wrońskiego, Włodka, Wroczyńskiego, Szaniawskiego, Zapaśnika; twarzy pamiętam więcej, ale nazwisk nie mogę przypomnieć. W drugiej klasie prymusem moim z łaciny był mały Kwiek. Przez dziesięć lat chowałem notatniki z nazwiskami i stopniami i, gdybym je miał dziś, przypomniałyby mi one wszystkich. Ale spalono mi je z innymi papierami w roku 1890-m, podczas mych peripetji z rosyjską żandarmerją.

Z profesorów pamiętam najlepiej matematyka Terpiłowskiego. Był to jedyny obok mnie polak. Człowiek dobry i sympatyczny, a że był młodym, więc stosunek ułożył się niemal do rozmiarów przyjaźni. W dobrych byłem stosunkach ze starszym o wiele grekiem Sierocińskim. Był to też polak, ale prawosławny, co go bardzo krępowało. Mieszkałem z początku u Swirniuka, profesora niemieckiego języka. Był to rusin galicyjski, dość chytry i przebiegły. Lgnął do mnie, jak się zdawało, ale czy szczerze, tego nie wiem. W końcu tak się zaczął bać mnie, że prosił bardzo grzecznie, abym opuścił jego mieszkanie. Profesorem historii był Solski, człowiek dobry i nawet po swojemu dość sympatyczny. Miałem z nim na samym początku zabawne zajście. Wystawiono w Warszawie obraz Matejki „Bitwa pod Grunwaldem“. Naturalnie, w najbliższą sobotę po lekcjach kopnąłem się do Warszawy. W poniedziałek jesteśmy wszyscy przed lekcjami, jak zwykle, na sali i szykujemy się każdy do swojej klasy. Podchodzi do mnie Solski i pyta: pan jako polak musisz wiedzieć, co przedstawia ten obraz „Pod Grunwaldem“, o którym wszyscy w mieście mówią. — Takie pytanie z ust profesora historii zbyt wyglądało na kpiny, aby można je było puścić płazem. Najchętniej się więc, jak można najsrożej i pytam: A pan w ja-

kim uniwersytecie uczyłeś się historii? — Myślałem, że będzie awantura. Tymczasem Solski łypnął na mnie swemi łagodnymi oczami i całkiem serjo mówi: W kijewskiej duchownej akademji. My tam doszli tylko do upadku rzymskiego cesarstwa. — Masz tobie. Uczył się na popa, dojechał tylko do upadku rzymskiego cesarstwa, od kilkunastu lat uczy polaków historii i nie wie, co to była bitwa pod Grunwaldem. Wyłożyłem mu dokumentnie całą historję wojny, która zaprowadziła Jagiełłę i Witolda, a też i wielkiego mistrza pod Grunwald, kolega Solski grzecznie podziękował i więcej już mowy o kijowskiej duchownej akademji między nami nigdy nie było. Prefektem był ksiądz Brzozowski, człowiek, jak się zdaje, dobry, ale dla mnie mało sympatyczny. Z filologami, oprócz Sierocińskiego, nie utrzymywałem żadnych stosunków. Francuz Brun darzył mnie swoją sympatją i stale mi tłumaczył, że byłby napewno zginął za Francję w roku 1871, ale wojna akurat się skończyła.

Jedna jeszcze chwila utkwiała mi szczególnie w pamięci. Był to ranek 14-go marca 1881 r., czyli 2 marca według starego stylu. Spóźniłem się trochę na lekcje nie wiem z jakiej racji. Wchodzę na salę w przekonaniu, że lekcje się już rozpoczęły, ale widzę wszystkich profesorów. Dyrektor jakiś zmieszany, czy wystraszony biega po sali i rzuca na wszystkie boki jakieś dziwne spojrzenia. Nie przeczuwając nic szczególnego, podchodzę jak zwykle; aby się przywitać i pytam, co się stało? To pan nie wiesz — caria ubili! Skądbym miał wiedzieć? Rzeczywiście nie wiedziałem nic, bo wiadomość o wypadku doszła do Siedlec dopiero nazajutrz rano. Myny braci moskali były bardzo rzadkie. Co się roilo w tych tępych głowach, trudno odgadnąć, ale miałem wrażenie, jakgdyby się czegoś obawiali, czegoś oczekiwali i czuli się wogóle bardzo niedobrze.

Za chwilę spędzono całe gimnazjum na korytarze i koledzy moskale poszli z mniejszością uczniów do cerkwi, a ksiądz Brzozowski i ja z większością do kościoła modlić

się za duszę Aleksandra II-go i składać przysięgę Aleksandrowi III-mu. Patrzałem z zajęciem na twarze młodzieży. Dobrze wytresowało ich życie. Urodzeni w niewoli, okuci w spowiciu, umieli nosić doskonale maskę obojętności. A niejednemu pewno huczało w głowie, gdy szedł na to żałobne nabożeństwo, to samo, co mnie kręciło się wtedy w myśli: — Kara Boża, kara Boża, kara Boża!...

W życiu późniejszym spotkałem się parę razy z ówczesnych moich uczniów z jednym tylko ś. p. Dr. Męczkowskim. Ze stancji uczniowskich pamiętam najlepiej stancję pani Strzelbickiej, gdzie, odwiedzając brata, który był wtedy w pierwszej klasie, spotykałem się ze starszą młodzieżą.

Okolice Siedlec pamiętam doskonale. Odbywałem częste samotne przechadzki za miastem, szczególnie w stronę Igań.

Kończąc te wspomnienia z dalekiej przeszłości, dziękuję serdecznie kolegom Siedlczanom za pamięć i powtarzam, com powiedział na początku — pobyt mój w Siedlcach był ważną chwilą w moim życiu, być może decydującą o całej przyszłości.

Cleveland.



Grupa uczniów klasy VII, pozostawionej na drugi rok przez naucz. Red'ko 1886 r.

*Stan. Wielowiejski, J. Jaworski, K. Pruski, A. Wyszomirski, W. Polkowski, L. Zbierchowski,
P. Szymczuk, W. Dmowski*

Prof. Dr. Józef Trzebiński

I

WSPOMNIENIA Z GIMNAZJUM SIEDLECKIEGO
W 1880 — 1888 ROKU

Wstąpiłem do gimnazjum Siedleckiego w 1880 roku do klasy III. Było nas tam 32 kolegów, większość polacy, kilku rosjan i jeden protestant. Dyrektorem był wówczas sędziwy Ponomarow, rosjanin, w obejściu trochę rubaszny, ale kochający młodzież i niewiele przykładający starań do rusyfikacji, z którą prawdopodobnie nie sympatyzował. Uczył on nas greckiego. Nazywaliśmy go fiksem. Inspektor gimnazjalny Sotniczewskij, o dużym brzuchu, leniuch i dość ograniczony, również niezbyt gorliwy rusyfikator. Uczył jęz. rosyjskiego w niższych klasach. Matematykę wykladał K. Kulakow, zgorzniały, abnegat, pijak, charakter prawy i do przesady bezstronny. Historji uczył J. Groszkowski polak, który się dobrowolnie zrusyfikował, zgorzniały i uszczypliwy, choć dobry nauczyciel. Nauczycielem rosyjskiego był Solski — w obejściu z uczniami bardzo łagodny i niewymagający. Lubiliśmy go za to, nieprzeczuwając, że tylko wrodzone lenistwo niepozwalało mu się oddać energicznej pracy rusyfikatorskiej, gdyż był to człowiek zapamiętałe nie lubiący wszystkiego co polskie. Łaciny wykladał — Szymański (polak) rozlazły i mało wymagający. To też na jego lekcji było bardzo dużo hałasu. Niemieckiego uczył J. Swirniuk — rusin z Galicji Wschodniej — figura komiczna i mało inteligentna. Prefektem był ks. Brzozowski, którego wszyscy ceniliśmy za jego zapał religijny i patriotyzm. Jego lekcja była

dla nas jedynym źródłem skąd płynęły słowa zachęty i otuchy w tych ciężkich czasach. Z innych nauczycieli, z którymi spotkałem się w wyższych klasach, wymienię następujących: Sierajczkowski — polak z bardzo groźną miną. W niższych klasach obawiano go się, w wyższych często był przedmiotem żartów. Był podobno przedtem aktorem. Uczył łaciny wcale dobrze, Palicyn — nauczyciel greckiego. Umiał swój przedmiot wcale dobrze, ale złym był pedagogiem. Był podobno homoseksualistą, co obniżało jego powagę. Uczył greckiego. Wyróżniał się podobnie, jak wyżej wspomniany Groszkowski — łapownictwem, zwykle w postaci lekcji prywatnych. Wójnow—nauczyciel rosyjskiego młody i mało doświadczony, uczył w niższych klasach gramatyki. Na uwagę w końcu zasługuje pomocnik gospodarza klasy Romański polak — urodzony szpieg i denuncjator, znieawidzony przez uczeni (przezowano go Śliwką).

Jedyną ostoją polskości była wtedy rodzina i kościół. Nietylko uczyliśmy się z podręczników rosyjskich, ale i czytaliśmy ich powieści rosyjskie z biblioteki szkolnej. Książki polskie mieliśmy tylko z miejscowych księgarni G. Strumpfa i Zagajewskiego. Książki te trzeba było ukrywać starannie szczególnie na stacji. Z nielegalnej biblioteki z pismami: „Przegląd Tygodniowy” Wiślickiego i „Prawda” A. Świętochowskiego korzystaliśmy dopiero w VII i VIII klasie. To też w rozmowie robiliśmy dużo błędów gramatycznych. Jeszcze gorzej było z ortografią. Niektórzy z nas wcale po polsku pisać nie umieli, a bardzo często automatycznie dopisywał się „znak twardy” do polskiego wyrazu. Prócz kościoła słyszeliśmy polski język niekiedy w teatrze. Przedstawienia amatorskie odbywały się zimą, zwykle w karnawale. Pozwolenie do teatru otrzymać można było z łatwością. Lecz i tam spotykaliśmy się z kontrolą w postaci nieodstępnej Śliwki, a często też inspektora.

Najwięcej czytaliśmy powieści, ale w wyższych klasach czytano i rzeczy poważniejsze z filozofji nauk przyrodniczych (Darwin), historii i literatury polskiej. Najbar-

dziej podobały się nam dzieła pisane w duchu liberalnym np. Drapera: Historia stosunku wiary do rozumu.

Niemożna powiedzieć, aby rusyfikacja podczas mego pobytu w Gimnazjum Siedleckim prowadzona była stale środkami brutalnymi. Za czytanie książki polskiej, lub polską rozmowę niezawsze szło się do kary. Sam jednak sposób nauczania był tego rodzaju, że rozmyślnie pomijano wszystko to, co miało jakiś związek z kulturą lub przeszłością Polski. W samym mieście inteligencji polskiej było mało, a przytem była ona zahukana i bojąca się represji (koza, utrata posady). Na początku mego wstąpienia do gimnazjum zawiązały się kółka różańcowe: męskie i żeńskie. Lecz po kilku miesiącach musiały się one rozwiązać, ponieważ członkowie ich zostali uprzedzeni, że to się może źle skończyć. A działalność tych kółek wyrażała się tylko we wspólnem odmawianiu modlitw. Podręczniki do religii mieliśmy polskie, ale słuchaliśmy wykładu po rosyjsku, a gdy nowy prefekt ks. Szyszkowski chciał coś objaśnić po polsku, kazał jednemu z uczniów wypatrywać oknem, czy nie idzie inspektor.

To też uczniowie, mieszkający przy inteligentnych rodzicach, mogli stale czytywać polskie książki i pisma. Reszta zaś uczni, szczególnie stojący na stancjach, byli narażeni, jeżeli nie na zupełną rusyfikację, to na zapomnienie polskiej kultury i historii, której zresztą nie znali.

Łatwo się domyśleć, że w historii i literaturze polskiej byliśmy nieukami, o ile kto z domu nie wyniósł pewnego zasobu wiadomości. Słyszałem coś o Syrokomli, Kraszewskim, o Popielu, Sobieskim i Kościuszcze. Prócz tego z ustnych opowiadań pewne szczegóły o ostatnim powstaniu, często z uwagami, że Polskę szlachta zgubiła, która swego króla słuchać nie chciała, a nawet go zepchnęła do wody. O Mickiewiczu, Krasińskim i Słowackim—dowiadaliśmy się dopiero w wyższych klasach. Byli zresztą i tacy, którzy uważali czytanie tych wieszczów za niebezpieczną zabawkę, a woleli studjować Puszkina, Lermontowa i Hohola, bo to się przyda do pisania ćwiczeń. Jak się dostaniemy do

Uniwersytetu — nikt nam nie zabroni przecież studjować polską historję i literatury — mówili oni. Tego rodzaju ostrożni młodzieńcy wychodzili z Uniwersytetu, często jako dobrzy lekarze, rejenci, ale jeżeli wyjechali do Rosji, tracili łatwo poczucie narodowe, żenili się z rosjankami i wogóle silnie szanowali kulturę rosyjską, nieznając zupełnie własnej.

Do wzmocnienia polskości w Sieldcach, przyczyniła się trochę księgarnia Zagajewskiego. Właściciel księgarni sprowadzał z Galicji dużo utworów zabronionych (Biblioteka Mrówki), które „za strach” sprzedawał po potrójnej cenie. Miał przytem dorodną córkę, dla której wielu uczniów z klas wyższych chętnie przesiadywało w księgarni. Niestety, wyszła ona za mąż za rosjanina-pijaka, wyjechała do Rosji, gdzie się zmarnowała.

Sam zaś Zagajewski przeniósł się do Krakowa, gdzie założył restaurację, potem zbankrutował i po wielu latach powrócił do Siedlec, aby tam umrzeć w szpitalu.

Ja sam, choć lubiłem polskie książki i jeszcze w dzieciństwie czytałem Kochanowskiego i Klonowicza, z balladami i większymi utworami Mickiewicza zapoznałem się dopiero w VI klasie.

Po części więc rusyfikacja w szkole spełniała swe zadanie. Przejmowaliśmy się potrochu kulturą rosyjską. Wartości moralne i estetyczne poetów i pisarzy rosyjskich coraz silniej przemawiały do dusz naszych, czemu towarzyszyło zobojętnienie do polskości. W wyższych klasach hasła pozytywizmu i pracy organicznej, jako najwyższy wyraz postępu ogólnoludzkiego, coraz silniej wpajały w nas przekonanie, że patrijotyzm — to przeżytek, że są hasła ogniwo ludzkie, jak np. dążenie do wyrugowania krzywd społecznych. W Uniwersytecie zaś od kolegów rosjan dowiadywaliśmy się, że prócz Rosji carskiej, która nas gnębi, rozwija się nowa Rosja, walcząca o wszechludzkie ideały, a więc i o Polskę, dążąca do naprawienia krzywd społecznych, wobec których błędną wszelkie skargi na ucisk narodowościowy. Wobec wyzysku rzemieślników i włościan, co znaczy

fakt, że w szkołach i gminach panuje rosyjski, a nie polski język — zapytywali zwolennicy nowych haseł. Nowe poglądy, z którymi spotykali się abiturjenci Siedleccy w Uniwersytecie, znajdowały sympatyczny oddźwięk w klasach wyższych Siedleckiego gimnazjum, gdzie pod wpływem cichej, ale tem niebezpieczniejszej rusyfikacji za pomocą nauczania następowało powoli zubożenie do kultury polskiej, wzmocnione utratą religii.

Jakichkolwiek związków, kółek, chociażby sportowych młodzież gimnazjalna nie miała wcale. Raz do roku urządzano nam „literackie wieczory”, gdzie wybrani uczniowie deklamowali utwory po rosyjsku i we wszystkich innych językach, byle nie po polsku. Małe kółeczka tworzyły się samorzutnie, ale to dopiero w wyższych klasach do gry w pałanta, w karty i do pijatyki. Odważniejsi chodzili na wieczorki tańczące. Z wycieczek do lasu i kąpieli (Sekuła) wracaliśmy do domu przez łąki i ogrody, aby się nie spotkać z nauczycielami, bo wolno nam było chodzić po ulicy do godz. 8-ej wieczorem.

II

Epizod na lekcji historii w klasie IV-ej

W klasie IV-ej wątpliwości religijne zaczęły kiełkować tylko u niektórych uczni. Większość klasy jeszcze była szczerze wierzącą. Na lekcji historii, nauczyciel Solski zaczął bardzo obszernie opowiadać nam o spaleniu Husa i znęcaniu się nad nim fanatycznego duchowieństwa katolickiego. Widzieliśmy wtedy w nauczycielach rosyjskich wrogów przyrodzonych i postanowiliśmy niewierzyć temu, co nam będą mówić o Polsce i religii. Opowiadaniem o spaleniu Husa byliśmy głęboko dotknięci w swych uczuciach religijnych, tembardziej, że z drażnieniem tych uczuć spotykaliśmy się stale w naszym podręczniku historii Bellaminowa, gdzie rysunek przedstawiający znieważenie papieża zajmował aż całą stronę. Postanowiliśmy więc lekcji o spaleniu Husa wcale nie wydawać. Wchodzi Solski i wywołuje

jednego z uczni — ten milczy. Wywołuje drugiego — to samo. Trzeci również nie odpowiada i zaczyna płakać. Rozlegają się przytem głosy: myśmy się wcale tego nie uczyli, bo to ubliża naszej religji. Solski zmieształ się, lecz po chwili zawołał podniesionym głosem: Wasz upór na nic się nie zda, bo ja was mogę zmusić do nauczania się lekcji o Husie. Wówczas jeden z uczni odpowiedział: panie nauczycielu, zmusić nas do nauczania się tego co nam na lekcji opowiadają zawsze można, lecz uwierzyć temu, nikt rozkazać nie potrafi. Zamyślił się nasz nauczyciel i nie rzekłszy ani słowa, opuścił klasę.

III

Poziom nauki w gimnazjum Siedleckiem w roku 1880—88

Z przedmiotów wykładanych w gimnazjum Siedleckiem, najlepiej stały języki klasyczne, język rosyjski i matematyka. Niewiele rozumieliśmy gramatyki rosyjskiej, którą nam podawano w postaci suchych przepisów, aby dobrze pisać dyktanda, mało przejmowaliśmy się historją rosyjską, jako zupełnie nam obcą i podawaną przytem w nudnej formie. Nie przemawiały do dusz naszych wielkorosyjskie byliny i bajki, ani też wiersze Dzierżawina i komedje Fonwizina. Za to utwory Puszkina, Lermontowa, Hohola, ballady Żukowskiego budziły i rozwijały w nas uczucia piękna i artystu i przystończyły dla wielu z nas piękno rodzimych wieszczów. Języki i utwory klasyczne studjowaliśmy głównie ze strony gramatycznej, lecz bez szerszych uogólnień — to też nauka taka wstręt w nas budziła. O wniknięciu w ducha utworów, o poznaniu głębszem kultury klasycznej mowy nie było. Wynosiliśmy ze szkoły jednak dość gruntowne przygotowania do studjów klasycznych w Uniwersytecie, tylko, że tym studjom nikt z młodzieży poświęcić się nie zamierzał. Były one u nas w pogardzie, jako coś przeżytego, a więc niepotrzebne. Dobre przygotowania wynosiliśmy z matematyki. Wykładano ją może zbyt dogmatycznie, ale

w każdym razie mieliśmy grunt przygotowany do wyższych studjów. To też wielu z nas wybierało się na politechnikę, szczególnie do Szwajcarji. Nauczanie fizyki ograniczało się do wykuwania z książki. Był wprawdzie gabinet fizyczny, ale raz do roku zaledwie pokazywano nam kilka przyrządów. Zresztą był on zawsze na klucz zamknięty, z obawy, jak mówił nasz nauczyciel matematyki, abyśmy nie wypili znajdującego się tam spirytusu. Nauczanie historii stało na bardzo niskim poziomie. Trzeba było wykuwać całe stronicę z nudnych podręczników, wyliczyć książąt i carów rosyjskich, począwszy od Ruryka. Ciągłe przytem podkreślano, że Polska musiała upaść, bo niepotrafiła się przystosować do wymagań europejskiego postępu, którego wychowawcami byli naturalnie car rosyjski i król pruski. Starano się wpoić w nas przekonanie, że upadek i rozbiór Polski jest dobrodziejstwem dla Polaków, gdzie zawsze panował straszny ucisk i ciemnota. Podobnie rzecz się miała z geografją. W podręczniku geografji Siemionowa można było czytać, że we Lwowie (w Lembergu) wykłady prowadzą się w języku niemieckim, z innych zaś miast Galicji wymienione były tylko Brody, jako siedlisko żydowskie. O Warszawie uczyliśmy się, że znajduje się tam pomnik Paszkiewicza, rosyjski uniwersytet i przedmieście Praga, sławne mężnymi atakami wojsk rosyjskich. Podręczniki geografji były przytem wypełnione do tego stopnia nazwami, że nauczanie się ich sprawiało prawdziwą męczarnię. To też w jednym z podręczników Rosji Smirnowa znalazłem przy wykładach ręczny dopisek ołówkiem: o Boże, za co ja tak cierpię!

Wykład języka niemieckiego (osławiony Swirniuk) urągał wszelkim przepisom pedagogicznym. Lepiej trochę było z językiem francuskim, (nauczyciel Brun).

Wykładów religji słuchaliśmy do klasy V-ej włącznie z wielką uwagą i przejęciem. Kochaliśmy swego prefekta za jego zapał religijny i patriotyczny i odwagę. Dwa razy do roku, gdyśmy wracali z oficjalnych nabożeństw rosyjskich do domu (przed rozpoczęciem i zakończeniem roku szkolnego) spotykałem prefekta raz przy kościele i napominał:

„Byliście na cudzem nabożeństwie, chodźcie teraz na nasze do kościoła”. W kl. VI przysłano nam nowego prefekta, księdza Szyszkowskiego. Nowy prefekt mało wymagał, nie objaśniał, zwracał zaś na lekcji najczęściej uwagi, czy lufcik w klasie był dobrze zamknięty. To też zobojętnieliśmy odrazu do religji i na lekcji prefekta czytaliśmy powieści lub odrabiali zadania.

Nauk przyrodniczych nie było wcale. Czuliśmy do nich pewną tęsknotę i nieraz zapytywaliśmy naszych nauczycieli, kiedy wprowadzą do szkoły wykład przyrody. Nieuctwo nasze pod względem wiadomości przyrodniczych było bardzo wielkie i gdy raz w VIII-ej klasie zapytał nauczyciel, co to jest kręgosłup — połowa klasy nie umiała dać odpowiedzi. Już w niższych klasach, u niektórych ujawniało się zamiłowanie do nauk przyrodniczych. Próbowaliśmy urządzać doświadczenia fizyczne i chemiczne, zbieraliśmy minerały, rośliny, owady. Ale próby te bez pobocznej pomocy wywoływały wkrótce zniechęcenie.

O różnych sprawach społecznych, ustroju państwowym, polityce, młodzież szkolna nie miała żadnego pojęcia. Kwestje te były pomijane w szkole, w życiu zaś o działalności społecznej, legalnej mowy nie było. W wyższych klasach u niektórych z nas zaczęło się budzić zainteresowanie do kwestji filozoficznych. Odbywały się wtedy gorące dysputy, na temat najczęściej egzystencji Boga, nieśmiertelności duszy i stworzenia świata. Sceptycy wychodzili z tych dysput zwykle zwycięsko. Możemy śmiało powiedzieć, że inteligentniejsi i bardziej ideowi uczniowie gimnazjum Siedleckiego, wstępowali do uniwersytetu z poglądami bardzo liberalnymi i pewną sympatją do wszelkich poczynań rewolucyjnych.

Wilno, 2/1 1926 r.

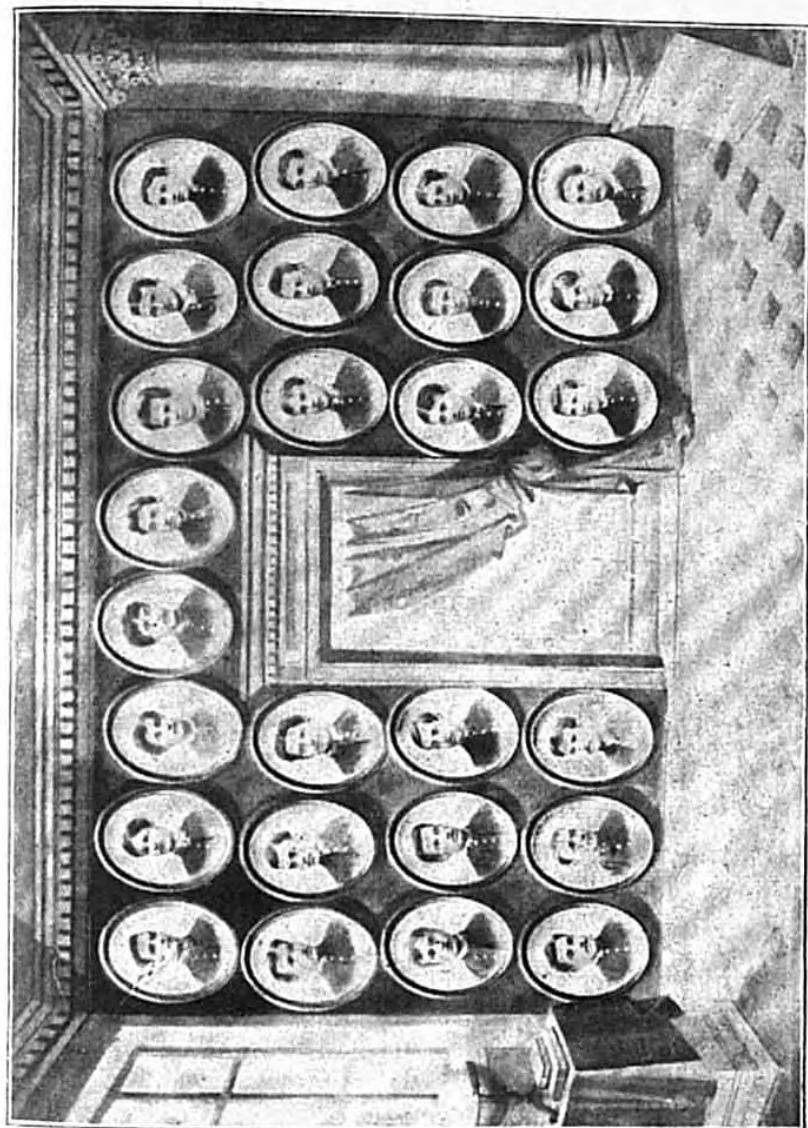
Sędzia Kazimierz Pruski

(1877 — 1888)

Wstąpiwszy do Siedleckiego Gimnazjum podczas rosyjsko-tureckiej wojny, ukończyłem takowe w 1888 r., a więc byłem uczniem tej szkoły w najcięższym dla młodzieży okresie, bo za czasów kuratora Warszawskiego Okręgu Naukowego Apuchtina i rządów w Polsce General-Gubernatora Hurki, a raczej jego małżonki, powszechnie zranej Marji Andrejewnej, która wraz z Apuchtinem prześladowała i ciemiężyla młodzież polską, jak również wszystko, co było polskie. Dlatego też całe polskie społeczeństwo nienawidziło tę ohydną i dobraną parę, a Apuchtin nie cieszył się sympatją również i wśród rosjan i nawet został spoliczkowany przez studenta rosjanina, który następnie z obawy o karę odebrał sobie życie, a znieważony „obrusitiel”, jako rekompensatę za policzek otrzymał wysoki order Aleksandra Newskiego. Owe odznaczenie orderem za spoliczkowanie zostało wyśmiane w cyrku, a ulicznicy warszawscy wołali na ulicach „jak ci dam w Apuchtina, to ci order Newskiego wyskoczy”...

Gdy podczas wspomnianej wojny z powodu zdobycia tureckich fortec Szybki i Plewny usiłowano zaciągnąć nas do cerkwi na dziękczynne nabożeństwo, prefekt nasz ks. Szyszkowski zaoponował i zaprowadził nas do kościoła, gdzie odśpiewał „Te Deum Laudamus”.

Dyrektorem Gimnazjum był wtedy Ponomarow, niezły w gruncie i niezbyt szkodliwy człowiek, pedant, gburowaty i nieubłagany wróg płci pięknej, oraz flirtu. To też



Maturzyńci 1888 r.

Jan Modrzewski, Wł. Pigłowski, Cz. Domański, A. Trusiewicz, Stefan Bądryński, St. Szczepański, A. Urbanowicz, Eug. Rabczyński, A. Mal-
kowski, Rom. Suchodolski, J. Zallwski, Józef Trzebiński, Br. Skibniewski, Kaz. Pruski, Jerzy Rościszewski, Józef Gerlach, Józef Remiszewski,
Sian. Roslan, Wacław Oarszyński, Antoni Rytel, Józef Szumkowski, Al. Wyszomirski i Andrzej Lipka.

źle było tym uczniom, których spotkał w towarzystwie nie wiaśc, gdyż zyskiwali u niego opinię „uchożorów“ i za najmniejszą niedokładność w uniformie, podczas owego spotkania, jak nprz. nie na wszystkie guziki zapięty mundur lub coś w tym rodzaju, czekała ich kara. W karnawale czepiał się do nich o to, jakoby drzemali podczas lekcji z powodu spędzonej nocy na zabawie, a gdy spotkał mnie podczas wakacji spieszącego do domu przed deszczem w płaszczu, zarzuconym na ramiona, zawiadomił urzędowo mego ojca o tem quasi wykroczeniu, ostrzegając, że jeżeli kiedy wyjdę na ulicę, nie włożywszy płaszcza na rękawy, to będę wydalony ze szkoły. Za palenie papierosów, spacerowanie wieczorem, noszenie tornistra w ręku zamiast na plecach i inne temu podobne wykroczenia czekała nas surowa kara, a za jedno z największych przestępstw uważano prowadzenie rozmowy w gimnazjum po polsku, za co w razie recydywy można było nawet wylecieć ze szkoły.

Niemniej srogim i nieraz bezwzględny był inspektor gimnazjum Piotr Sotniczewskij, zwany przez nas „Piet'ką“, który na skutek donosów wychowawców surowe wyznaczał nam kary, nie pozwalając przytem usprawiedliwiać się, mówiąc: „nieczewo objaśniatsia“ i natychmiast wykonywał swe wyroki, wołając na stróża szkolnego „Borys, kluczy, zapri jewo w tiomnyj karcer“. Nieszczęśliwy skazaniec szedł wtedy z opuszczoną głową i rzadką miną, a Borys, pobrzękując kluczami, prowadził ofiarę do komórki pod żelazną klatką schodową i zamykał tam na kilka godzin. Gdy pewnego razu jeden uczeń odsiadywał w tej kozie dłuższą karę, litościwa żona dyrektora, zwana przez nas „Penelopą“, przysłała mu zakąskę, krnąbrny jednak i rozgoryczony na cały świat pedagogiczny więzień nie przyjął tego posiłku i odesłał Penelopie, która od tej pory zaprzestała litować się nad odsiadującymi karę.

Plagą i grozą naszą byli wychowawcy, zwani wtedy „pomocnikami gospodarzy klas“, a wśród nich byli najgorsi: Romański, zwany przez nas „śliwką“ za swe duże adamowe jabłko, oraz Swirniuk, wychowawca i zarazem nau-

czytel niemieckiego. Szpicle ci wszystko wywąchiwali, podsłuchiwali, przyłapywali uczni w knajpach przy bilardzie lub podczas palenia papierosów, o czym meldowali Piet'ce, a ten karciał nas surowo. Czasem jednak dostało się coś od nas i tym naszym opiekunom. Pewnego razu podczas zabawy w prywatnym mieszkaniu, zwanej Krakowskiem Weselem, na której młodzież tańczyła w krakowskich kostjumach, Swirniuk podpatrzył przez niedobrze dopasowane rolety w oknie i zanotował nazwiska uczni krakowiaków, którzy następnie za ową zabawę kostjumową otrzymali dwadzieścia cztery godziny kozy. Wkrótce potem, gdy miała się znowu odbywać taka zabawa, pod oknem salonu wykopano dół, nakryto go z wierzchu prętami i zleпка posypano ziemią, a gdy na dźwięki muzyki opiekun nasz Swirniuk podkładał się pod okno salonu, w celu szpiegowskim, wpadł do dołu, z którego wydostał się z wielkim trudem. Jeden z mych kolegów odwiedził przed wojną owego Swirniuka, już jako emeryta, staruszka, który czule przyjął go, z rozrzewnieniem rozmawiał o ubiegłych latach i pokazał mu całą szafę skonfiskowanych u uczniów przed laty proc, pukawek, scyzoryków i innych przedmiotów, mówiąc, że to jest jego archiwum, to wspomnienia z czasów ubiegłych, pamiętał nawet od kogo były odebrane niektóre przedmioty.

Z pośród ciała pedagogicznego miłe wspomnienia pozostawili po sobie nauczyciele matematyki, Feliks Terpiłowski, jedyny polak w naszym gimnazjum, Koladyński, a szczególnie Kułakow, którzy aczkolwiek byli wymagający, ale za to dobrze uczyli nas, nie brali łapówek i byli sprawiedliwi. Pięknie wykładał porządny i szlachetny historyk Solski, później mianowany dyrektorem w Białej. Niezatarte i nader miłe wspomnienia pozostawił po sobie francuz Brun. To też wyżej przytoczeni nauczyciele cieszyli się powszechnym szacunkiem i uznaniem.

Natomiast nauczyciele starożytnych języków wszyscy niemal byli zdecydowanymi łapownikami. Nauczyciel łaciny Szymański, zwany przez nas „babą”, później dyrektor

na Pradze, zadawałniał się niewielkimi łapówkami, nie był przytem bezwzględny i nikogo nie zgubił; stali u niego na stacji synowie zamożniejszych obywateli, z którymi umawiał się o większą płacę za stancję z „gwarancją za promocję” lub o mniejszą bez gwarancji.

Wyrafinowanym ciemżycielem naszym był elegancki i nader układny łacinnik Groszkowski, który za otrzymane łapówki wybudował sobie kamienicę przy ulicy Długiej; w celu naigrywania się nad swoją ofiarą radził mi, bym, nie tracąc napróżno czasu, wystąpił z 7 klasy i został szewcem lub krawcem, bo nigdy nie dopuści, bym uzyskał maturę. Zaciskałem wtedy zęby, by nie pogorszyć sytuacji odpowiednią, na jaką zasługiwał.

Brał również łapówki łacinnik Sierajczkowski, który chociaż całe życie wykładał łacinę, jednak pojęcia o niej nie miał.

Ze wszystkich pedagogów lingwistów wyróżniał się znajomością greki, łaciny i mitologii Aleksander Ried'ka, największy przytem łapownik z całego zespołu łapowników. Do Siedlec Ried'ka został przeniesiony w 1885 r. z Kaukazu, gdzie uczniowie gruzini za wymuszanie łapówek prześcili mu nogę, wskutek czego został kaleką i chodził o kij, dziwnie jakoś nachylając się i zawijając ową nogą. Zaraz po przybyciu do Siedlec z Kaukazu Ried'ka zaczął wypytywać się o stanie materialnym rodziców i uczniowie zamożniejszych rodziców otrzymali w cenzurze 2-ki, a wezwany rodzicom Ried'ka zakomunikował, że synowie ich źle uczą się i że jedynie prywatne lekcje mogą poprawić sytuację. Wobec tego synowie zamożniejszych rodziców jakoby brali lekcje u Ried'ki, faktycznie jednak tylko grywali z nim w szachy o ile umieli, a ci, co nie znali się na tej grze, byli przyjmowani tylko raz na miesiąc, gdy przynosili od ojca w kopercie pieniądze i oczywiście wszyscy otrzymywali dobre stopnie. W końcu roku szkolnego, po piśmieniym egzaminie z łaciny, Ried'ka oznajmił nam, żeśmy prawie wszyscy źle napisali wypracowanie i otrzymamy dwójki; było to, jak sądzę obecnie, nowe dążenie ze strony tego

pedagoga do wymuszenia od zamożniejszych rodziców dodatkowej łapówki na zakończenie roku szkolnego. Nie poznawszy się jednak na tem, wysłaliśmy pocztą do dyrektora podpisaną przez nas wszystkich prośbę o wyznaczenie nam powtórnego egzaminu przy udziale komisji egzaminacyjnej, nadmieniając, że Ried'ka nie uczył nas należycie i że bierze łapówki. Wobec złożenia tej skargi, zostało wdrożone energiczne dochodzenie w celu wykrycia, kto z nas był inicjatorem skargi i redagował ją. Aczkolwiek uczynił to kolega Durnowo, któremu, jako synowi dygnitarza rosyjskiego, nie mogła grozić poważna kara, jednak nazwisko jego zachowaliśmy w tajemnicy, pomimo że pedel Śliwka użył podstępu, mówiąc, że już wszystko wykryło się, gdyż jakoby jeden z kolegów wygadał się; jednak nie daliśmy się wziąć na ten fortel, a rada pedagogiczna w bezsilnej swej złości, nie mogąc ukarać całą klasę za słowa prawdy, zdecydowała pozostawić jak najwięcej z nas w 7-ej klasie na drugi rok i po roku wydalić ze szkoły. Zgodnie z tą uchwałą zostawiono nas wtedy na drugi rok 9-ciu, z pośród których 6 wcale nie uzyskało matury.

Była to kara za naszą słuszną skargę, uważaną przez władzę za bunt.—Bezwzględnym wrogiem naszym i wogóle polaków był nauczyciel łaciny Sierociński nader wymagający, srogi i szelma skończony, jak go nazywano poprzednio w Lublinie, alter ego Syngalewicza — lubelskiego dyrektora, który był najgorszym ze wszystkich dyrektorów w całej Polsce.

Wspomnę jeszcze o jedynym zapewne tego rodzaju pedagogu, nauczycielu łaciny, niejakim Palicynie —nie brał on wprawdzie łapówek, ale za to miał inną wadę, kto wie czy nie gorszą niż łapownictwo, cierpiał bowiem na pewne zboczenie płciowe, zbliżone do pederastji; żądze jego płciową zaspakajało przyciśnięcie się w tłumie, np. w teatrze lub gdzieś na ustroniu do którego z uczni i dokonanie kilku ruchów swym korpusem w stronę stojącej przed nim ofiary tego zwyrodnienia. Po wielu latach demoralizowania młodzieży nareszcie na skutek wielokrotnych skarg rodziców

ów degenerat został przeniesiony do Warszawy na stanowisko cenzora, według zaś innej wersji zdegradowany na pomocnika gospodarzy klas.

Opisawszy ciekawsze typy naszych pedagogów, nie mogę pominąć milczeniem tej zdawałoby się dziwnej okoliczności, że ich moralna strona miała pewien związek z pochodzeniem i wyznaniem ich — oto wszyscy łapownicy byli poprzednio wyznania grecko-unickiego i w 1876 r., nie chcąc stracić posady, przyjęli prawosławie, przyczem Ried'ka i Swirniuk pochodzili ze Wschodniej Galicji, rdzenni zaś moskale byli uczciwsi i łapówek nie brali, a Kulałow, Koladyński i Solski byli bez skazy.

Wobec prześladowania nas narodowościowego i ze względu na rozwinięte łapownictwo, ciężko nam było kształcić się w powyższej szkole. Użycie w wypracowaniu zwrotu polskiego, tak zw. „polonizmu“, decydowało o znajomości rosyjskiego języka za niedostateczny, więcej jednak na przeszkodzie do uzyskania matury stały starożytny języki, wykładane przez łapowników, to też duży procent uczniów opuszczał szkołę po ukończeniu zaledwie kilku klas, a z 60 moich kolegów z I-ej klasy jeden tylko Oleśkiewicz ukończył gimnazjum „nie zimując“ w żadnej klasie.

Wobec takich, pod każdym względem ciężkich warunków, dzień uzyskania matury zaliczał się do najszcześniejszych dni w życiu, a wskazane wyżej warunki wzmacniały hart ducha i wytwarzały między nami wielką łączność i koleżeństwo.

Przypominając sobie dawniejsze czasy, przychodzi mi na myśl, że siedlczanie byli wojowniczo usposobieni i starali się choć częściowo wyładować ową swą energję. O tu prawie przed 50 laty starsi uczniowie prowadzili bójki z żydami—podczas jesieni w każdą niemal sobotę po południu zbierali się uczniowie na placu wojskowym, a od strony ul. Warszawskiej przybywali żydzi-rówieśnicy i jedni w drugich rzucali kamieniami, trafiając nieraz i kalecząc, przyczem jedni następowali na drugich, a gdy żydzi przy swej

liczebnej przewadze zbyt blisko podbiegali do uczni, ci cofali się w stronę fortecy. Po jakimś czasie zaprzestano prowadzić wojnę z żydami, natomiast uczniowie starsi zapatrywali się w pałasze, pistolety, czapki i inne oznaki wojskowe i za miastem ćwiczyli się w sztuce wojennej, dzieląc się nieraz na dwa wrogie sobie obozy, które staczały między sobą walki.

Corocznie odbywaliśmy zbiorowe wycieczki do Igan dla upamiętnienia stoczonej tam z Moskalami w 1831 r. bitwy i oddaniu hołdu poległym w tej bitwie bohaterom.

W lecie spacerowały do Sekuły, Rozkoszy i na Smolak w celu kąpieli, a w zimie sport łyżwiarski był na porządku dziennym.

Z gier towarzyskich wielu zwolenników miał palant i zabawa ta odbywała się na placu wojskowym lub za „Florjanami” koło prochowni, a w ekstrę grywano na wszystkich niemal podwórkach. Młodszy uczniowie z zapalem grywali w stalówki do pisania. Niektórzy koledzy bawili się także w handel zamienny, wymieniając między sobą różne swe rzeczy, np. łyżwy, piłki, scyzoryki, zegarki, a nawet i cywilne ubrania. Preferans i bilard również miały swoich zwolenników.

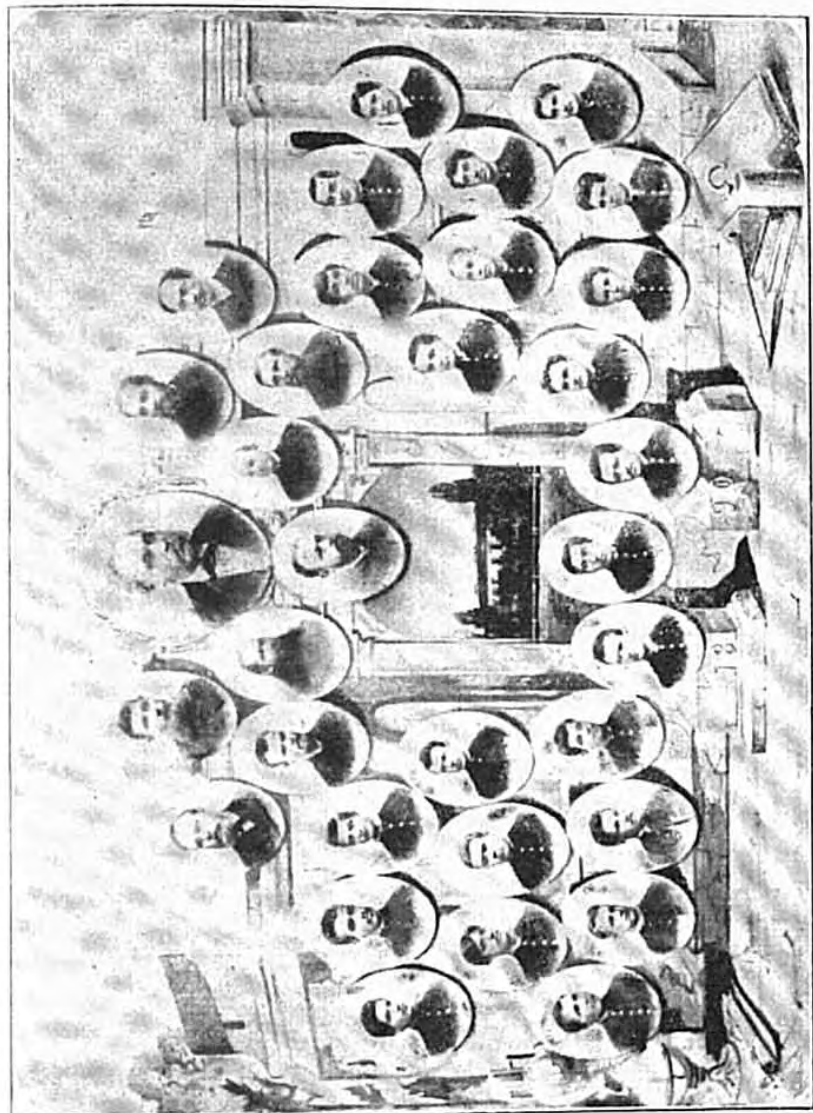
Na zimowy sezon przyjeżdżały do Siedlec wędrownie trupy dramatyczne Ratajewicza, Trapszego, braci Sarnowskich i inne. Artystki Knapczyńska, Kawecka i Irenka Trapszówna cieszyły się wśród nas zasłużonym powodzeniem a ponieważ wielu wśród nas było zawołanymi melomanami, więc dlatego w święta i soboty walnie uczęszczaliśmy do teatru. Tańce i flirt były ulubioną rozrywką wszystkich bodaj uczni i wszelkie przeciwdziałanie dyrektora antifeministy nie mogły stłumić tego naturalnego dążenia młodzieży obojga płci do wzajemnego zbliżenia się.

Pozamiejscowi przyjezdni uczniowie zamieszkiwali na stacjach, utrzymywanych przeważnie przez wdowy za pozwoleniem dyrektora gimnazjum. Na każdej stacji stało kilkunastu uczni, z których jeden starszy pilnował porządku i pomagał w naukach uczniom niższych klas, za co

otrzymywał mieszkanie i życie bezpłatnie. Prawie codziennie w godzinach wieczornych zachodził na stancję pedel i sprawdzał, czy wszyscy uczniowie są w domu, czy nie palą papierosów, nie czytają polskich książek i czy wogóle wszystko jest w porządku, i o rezultatach wizytacji czytał adnotacje w przeznaczonym dla tego dzienniku. Największą popularnością cieszyły się stancje pań Strzelbickiej, Egiersdorffowej, Gumowskiej, oraz nauczyciela Szymańskiego — dla uczni zamożniejszych, oraz stancja p. Rodeckiej przy ul. Florjańskiej dla mniej zamożnych.

Marzeniem wszystkich abiturjentów było dowiedzenie się zawczasu, jakie będą tematy egzaminów ostatecznych, a szczególnie z języka rosyjskiego, gdyż otrzymany z tego przedmiotu stopień decydował o maturze. Ponieważ tematy i zadania maturalne były rozsyłane z okręgu naukowego te same do wszystkich gimnazjów, więc abiturjenci wszystkich szkół składali kilkanaście tysięcy rubli w celu otrzymania zawczasu tych tematów od przekupionego urzędnika z Kuratorjum naukowego, a o ile to nie udawało się, to usiłowano wykraść tematy z biurka którego z dyrektorów przy pomocy służby domowej, a czasem nawet córki lub kuzynki dyrektora. Nigdy nie zapomnę, jak o północy przed egzaminem maturalnym z rosyjskiego otrzymałem z Kielc, od kolegi Wędrychowskiego telegram tej treści: „jaka przyczyna wywyższenia Białokamiennego”; odrazu domyśliłem się, że wyznaczono nam na egzamin temat historyczny „Przyczyny wozwyszenia Moskwy”. W ciągu niespełna godziny wszyscy koledzy byli powiadomieni o treści depeszy i w nocy każdy z nas przygotował się do egzaminu, który może wskutek tego wypadł nam pomyślnie.

Uczniowie szkół średnich, oraz studenci mieli swój uniform. Uniform uczniowski stanowiły: mundur z granatowego sukna o 9 srebrnych guzikach w jeden rząd i stojącym kołnierzu, obszytym srebrnym na jeden centm. szerokości galonem, czarne lub ciemne szaraczkowe spodnie, płaszcz sukienny popielatego koloru ze srebrnymi w dwa rzędy guzikami, z wykładanym kołnierzem z granatowymi



Maturzyści 1890 r.

M. Wójcikowski, Józef Kuć, M. Gabarzewski, A. Afanasjew, M. Subbotkin, W. Sieradzki, Hldefons Friman, B. Wierzejski, J. Dyżewski, Jan Moczulski, Fr. Olszewski, A. Bielow, A. Król, S. Zakrzewski, K. Różycki, A. Suchodolski, S. Krzemientewski, A. Kuropatwiński, M. Stwkowski
T. Plasecki, L. Bryndza-Nacki, B. Krasuski i K. Kampioni

Nauczyciele: Dyr. Ponomarew, Solski, Groszkowski, Świrtnik, Palicyn, pop Mizielecki, Fr. Brun, Ks. Szyszowski, Kulakow, Hirszfeld.

klapkami, zakończonemi srebrnym guzikiem, z tyłu w talji z patką, zakończoną po obu stronach guzikami i czapka kepi francuskiego kroju z daszkiem z czarnej skóry, nad którym były srebrne palmy, a między nimi inicjały gimnazjum. W parę lat po wojnie tureckiej zmieniono wyżej opisane czapki na okrągłe, takiej formy, jak obecnie nosi nasza policja, a kolor sukna i ornamentacje pozostały poprzednie. Mundury granatowe pozostawiono tylko dla uczni 8 klasy, oraz, jako galowe i nieobowiązkowe, dla uczni młodszych klas, którzy od tego czasu chodzili w ciemno szarych bluzach ze stojącym kołnierzem, opasani czarnym lakierowanym paskiem, spodnie mieli tego samego koloru, płaszcze zaś pozostały dawnego koloru i kroju. Mundury i czapki granatowe były praktyczne z tego względu, że po ukończeniu gimnazjum można było nadal korzystać z nich w uniwersytecie, naszywszy na kołnierzu drugi galon i takiż podwójny galon na rękawach i oderwawszy od czapki srebrne ornamentacje. Jednak w 1885 r. uniform w uniwersytecie został zupełnie zmieniony i zbliżony do wojskowego.

Na zakończenie wspomnę, że władza szkolna wszelkimi sposobami dążyła do zrusyfikowania nas i przytłumienia naszego ducha narodowego. Dla osiągnięcia tego historję polską fałszowano w niemożliwy sposób, ucząc nas jej z podręcznika Iłowajskiego, w którym wiele faktów historycznych było niezgodnych z rzeczywistością, a aczkolwiek cesarz rosyjski miał tytuł króla polskiego, jednak Polskę nazywano „Priwisiańskim krajem”; w gimnazjum wisiało ogłoszenie o tem, że w obrębie szkoły wolno mówić tylko po rosyjsku, a nawet żądano, by używać tej mowy we wszystkich miejscach publicznych, surowo zabraniano czytać i pisać po polsku.

Wszelkie jednak represje i działania w tym kierunku wywoływały wprost przeciwne skutki — wszędzie mówiliśmy tylko po polsku, posiadaliśmy sporą, dobrze ukrytą bibliotekę, składającą się z polskich dzieł naukowych, historycznych, poezji i beletrystyki, prenumerowaliśmy postępowe pisma „Prawdę”, „Przeгляд Tygodniowy”, „Wszech-

świat", „Rolę" i inne, które czytywaliśmy w domu i nawet ukradkiem w szkole. O istnieniu polskiej biblioteki władze szkolne zapewne wiedziały, lecz pomimo częstego poszukiwania jej przez pedli i inspektora, nie mogli jej wykryć. W ciągu kilku lat biblioteka ta była pod opieką niżej podpisanego, w domu ojca przy ul. Długiej na słynnej „górcie". Wobec obawy o rewizję kilkakrotnie przenosiliśmy książki w inne miejsca, a raz nawet o mało nie spaliliśmy szafy bibliotecznej.

Korzystając z biblioteki naszej oraz z innych wypożyczanych książek, poznaliśmy dobrze naszą historję i literaturę, a zrusyfikować nas moskalom nie udało się.

Z wychowañców gimnazjum siedleckiego, wyszło wielu ludzi dzielnych, dobrych obywateli i patriotów, a choć niektórzy z nas wobec nader ciężkich warunków życiowych, zmuszeni byli wyjechać czasowo z kraju do Rosji, jednak nie zatraciliśmy tam polskości, wychowaliśmy na obczyźnie nowe pokolenie dobrych polaków, którzy przy pierwszym formowaniu polskich sił zbrojnych przybyli gremialnie do odradzającej się i mało im znanej ojczyzny i, walecznie zmagając się z wrogiem wraz z miejscowymi polakami, jedni tracąc przytem swe młode życie, inni przelewając swą krew gorącą, wywalczyli nam odrodzoną, niezależną i wymarzoną przez ich ojców Polskę, do której w ślad za synami powrócili ich ojcowie, by pracować dla dobra i na chwałę Ojczyzny.

Lublin, dnia 30 kwietnia 1926 roku.

Aleksander Ołędzki.

W SZKOŁACH SIEDLECKICH W OKRESIE POWSTANIOWEGO FERMENTU(1861—70)

W roku 1861 kochany nasz ojciec powiózł nas do Siedleckiej Szkoły powiatowej. Rok szkolny zaczął się od stycznia, w pierwszym półroczu szkoły były zamknięte z powodu manifestacji narodowej. — Najstarszy z braci moich, Żeliszaw wstąpił do klasy IV-ej, drugi z braci Ludwik do klasy II-ej, obaj przeniesieni z Lubelskiego Gimnazjum Realnego, ja, najmłodszy z tej trójki, 9-cio letni małec zdałem egzamin do klasy I-ej; przyjęciu memu opierał się nauczyciel matematyki Cieśliski, gdyż byłem jeszcze w nieporządku z dzieleniem. Pilny i jak w całym późniejszym życiu ambitny, przeszedłem jednak do klasy II nawet z pochwałą.

Lista klasy I-ej zaczynała się: Bereza Kamil, Bereza Stanisław, Ceren Feliks i t. d. Z wybitnych w życiu późniejszym byli moi dobrzy koledzy, kochani chłopcy, Edward Przewuski i Zygmunt Zanorzyński, o tych dwóch w dalszym ciągu wspomnę.

Inspektorem szkoły wówczas jeszcze V-o klasowej powiatowej był moskal Jeleniew, który pod strachem poczynającego się narodowego ruchu próbował mówić i pisać po polsku. Śmieszna to była polszczyzna. Nauczycielem języka polskiego był prof. Nielepiec Jan, przysłany z Petersburga za karę, gdyż był tam zamieszany w sprawie Ohryzki. W Petersburgu wykładał na Uniwersytecie filozofję i logikę, w Siedlcach uczył czytać i pisać po polsku. Wy magaający był szczególnie co do nauki czytania, uczeń mu-

siał czytać wyraźnie i zachować intonację stosowną do treści. Mieszkał jako kawaler już nie młody w gmachu szkolnym, miał umiłowanie do przyrody, płaszki z całego miasta zlatywały się doń, siadywały mu na ramionach, plecach, głowie, a on je karmił okruszynami z bułek. Posiadał masę książek i ze swego pokoju wychodził na spacer tylko w nocy, okryty długim, czarnym płaszczem. W środku miasta na placu wprost kościoła stał budynek czworokątny z wieżą, na niej na szpicu Atlas, trzymający kulę ziemską, zwany popularnie Jackiem, dokoła sklepy — a jedną stronę, zwróconą do kościoła, zajmował odwach. Prof. Nielepiec lubił ten plac po nocy zwiedzać. Krążyło wiele anegdot o tym profesorze-filozofie dziwaku. Arytmetyki uczył nas Cieślicki, przed którym drżeliśmy ze strachu, gdyż bił boleśnie po łapach, i wymagał szybkiej orientacji. Któryś z kolegów przy dodawaniu początków ułamków pisze na tablicy $4\frac{1}{2}$ plus $4\frac{1}{2}$ i mówi półpięty i półpięty a Cieślicki kończy „będzie cała pięta”. Klasa w śmiech, ale dość było jednego groźnego spojrzenia, żeby klasa się uspokoiła. Łaciny uczył Pragłowski zamiłowany myśliwy, ojciec dwojga dzieci i posiadacz dwojga ogarów, które narówni traktował ze swemi dziećmi i w domu przywoływał do siebie pod wpływem dobrego humoru: Zagraj Mańka, Tańcuj Jasiek, chodźcie tu moje ukochane dzieci.

Wszyscy familijni nauczycielowie trzymali uczni na stancji a ci chciwie podpatrywali słabostki i dziwactwa pedagogów.

Myśmy byli oddani na stancję i pod opiekę pana Żebrowskiego, pomocnika archiwisty akt dawnych, dobrego człowieka, ale nałogowego alkoholika. Stancja mieściła się w dużym murowanym domu żyda Grünberga, za tym domem były ogrody i pastwiska mieszczan rolników, gdzie pasły się kozy żydowskie i świnie mieszczańskie, inwentarz służący nam w wolnych chwilach za wierzchowców. Przypominam sobie nas drugoklasistów harcujących na okiełznanych kozłach lub wieprzach. Z umiłowanych zabaw była extra lub na łące ks. proboszcza palant czy gra

w żołnierzy z kijami w ręku — naturalnie polacy zawsze pobijali moskali. Zdobywaliśmy także fortecę, a tą była piwnica kryta darnią, które to walki wzbudzały nie mało emocji. Na stacji było nas kilkunastu, najstarszy Chłusowicz V-to klasista dosyć zdolny, oddany przez ojca ziemianina demokratę, po skończeniu gimnazjum na praktykę garbarską do Warszawy. Powagą w drugim roku był Karol Czajkowski, syn sąsiada ziemianina, późniejszy elew Szkoły Głównej w Warszawie, Wydziału Matematycznego — skończył inżynierję w Liege. W bracie moim Ludwiku 4 lata odemnie starszym, miałem prawdziwego opiekuna i obrońcę. Zdolny matematyk, bardzo zręczny jeździec i pływak pierwszorzędny, później zamiłowany hodowca i rolnik.

W soboty popołudniowe podczas cieplejszych miesięcy chodziliśmy do oddalonej Rozkoszy lub do Wesółki na kąpiele w miejscowych rzeczkach. Tam mój brat Ludwik był przewodnikiem, w szkole również dobry uczeń i lubiany od wszystkich kolega.

W klasie II-ej nastąpiła reforma szkolna Wielopolskiego, rektorem został mianowany Palicki, zasłużony pedagog, prefektem nauczycielem religji ks. Rempalski, młody, energiczny człowiek, do łaciny i historii przysłany był Ostrowski, niedoszły ksiądz, artysta śpiewak opery wiedeńskiej, obdarzony potężnym basem, uczył śpiewu, werbował podatne głosy do chóralnych kościelnych śpiewów, każda msza przed lekcją to był koncert, a uczniowie śpiewacy ulubieńcami Ostrowskiego. Naukę przyrody wykładał Solecki, cichy, spokojny, schorowany człowiek z moskiewskiego uniwersytetu, uczyć ani zachęcić do nauki nie umiał.

Podręczniki wogóle były złe, obciążające pamięć, dwugodzinne lekcje łaciny męczące, lekcje języków nowożytnych wykładane przez niedoświadczonych nauczycieli, żadnych korzyści nam nie dały. Rygor szkolny bardzo przestrzegany, bicie uczniów, zakrawające na znęcanie się nad małcami.

Różnica między uczniami co do wieku ogromna, ja malec 10-o letni miałem kilku kolegów, dierzawiających po

trzy lata jedną klasę, nawet 18-letnich, jak Bohusz, kuzyn mój Franciszek Ostrowski, Gustaw Szymoński, który w następnym roku w dalszym ciągu jako II-o klasiści zaciągnęli się do powstania. Z nich Ostrowski po stłumieniu powstania wyemigrował do Galicji i wyszkolił się tam na dzielnego rolnika, Szymoński Gustaw oparł się aż w Bułgarji, gdzie skończył medycynę i był podczas wojny rosyjsko-tureckiej lekarzem chirurgiem. Brat jego młodszy Hilary, chłopiec dużego temperamentu, wyszedł z VI-ej klasy gimnazjalnej w Siedlcach, skończył szkołę Żabikowską pod Poznaniem, imienia Haliny, pracował jako geometra w Siedlcach, gdzie był aresztowany w sprawie Adama Szymańskiego, osadzony w X pawilonie Cytadeli okazał niezwykle hart ducha.

Rok 1863 zastał mnie w klasie III-ej, pamiętam więzionych pierwszych jeńców po bitwie pod Stoczkiem Laskim: Olędzkiego, ojca późniejszego mego kolegi oraz Morryca, jego szwagra, — obaj oni byli rozstrzelani na mocy sądu doraźnego, z rozkazu generała moskiewskiego Maniukina. Okrutny ten człowiek, typ Murawiewa, znęcał się nad powstańcami w straszliwy sposób. Kiedy tracono Rawicza, jednego z przywódców organizacji narodowej, zapędzono nas uczniów na miejsce kaźni. Pamiętam tę piękną twarz, i ten wstrząsający obraz stoi mi do dziś w oczach, i stać będzie do końca mego życia. Pamiętam żonę jego, która przyjechała sztafetą z Warszawy z rozkazem od namiestnika Berga, aby egzekucja była wstrzymana, pamiętam rozpacz tej młodej kobiety, która zastała już tylko stygnące zwłoki ukochanego męża. Rozkazy były dwa jednocześnie wysłane do Maniukina, aby jednakże Rawicz był stracony. A kiedy o tem piszę, to z oczów mi łzy płyną i tak było zawsze, zaprzysięgłem wtedy w duszy zemstę dla wrogów.

Wielu ze starszych młodzieży szkolnej wyszło do powstania, między innymi Zeitein, z III-ej klasy 14-letni chłopiec, wyszedł mój najstarszy brat Stanisław i szykował się Ludwik IV-o klasista, powstrzymany przez naszego ojca, który sam należał do organizacji powstańczej. Wyszedł

Aleksander Głowacki, późniejszy Bolesław Prus, chluba naszego narodu. Wielu w pierwszej bitwie pod Staninem Łukowskim zginęło. Głowacki był tak sklóty pikami kozackimi, że całe ciało jego to była jedna rana. Przywieziony do szpitala łukowskiego pod wezwaniem św. Tadeusza, pielęgnowany przez miejscowe siostry zakonne, wyszedł cało.

Głowacki-Prus nigdy o tym epizodzie swego życia nikomu nie wspomniał ani razu, nawet najbliższym sobie, prawdopodobnie i swojej własnej żonie. Dlaczego robił z tego tajemnicę — jest to zagadka. Wiem to od swojej matki, która dojeżdżała z naszego majątku Szaniaw do szpitala łukowskiego i nieraz sama opatrywała rany Prusa. Brat jego o wiele starszy, nauczyciel szkół siedleckich, na wiadomość o losie ukochanego Olesia dostał pomieszania zmysłów; ulokowany przez młodszego brata pod Nałęczowem w ziemiańskim domu tam życia dokonał. Prus-Głowacki zwykle wakacje spędzał w Nałęczowie i brata odwiedzał.

W roku powstania, w domu wynajętym na stancję przez pp. Żebrowskich, mieszkał po drugiej stronie prefekt Rempalski, czysta i zapalna dusza, mnie kochał jak własne dziecko i nieraz na rozmowę wyciągał, choć byłem skryty i nieśmiały malec. O kilka kroków od domu Grünberg wystawił stajnię dla moskiewskiej konnicy; podsłuchaliśmy raz rozmowę żołnierzy, że ta konnica ma wyjść do dnia „w pochód” przeciwko naszym powstańcom. Jakby temu przeszkodzić? Zrobiono naradę i oto postanowienie: Wydobywamy kilkanaście brukowców i wieczorem na komendę raz, dwa, trzy uderzamy brukowcami w stajnię; robi się momentalnie popłoch, konie zrywają kantary i oszalałe rozsypują się po polach — my czempredzej do książek i udajemy pilnych uczniów, ucząc się głośno. Wpada wachmistrz z obnażonym pałaszem, i niewiadomo coby było, żeby nie interwencja ks. Rempalskiego, który wbiega jak piorun, wyrywa z garści pałasz moskalowi, rzuca go na ziemię, wymyśla mu na czem świat stoi i ogłupiałego wy-

rzuca z naszego pokoju. Ks. Rempalski wkrótce potem wyszedł do powstania, walczył jak prosty żołnierz, ranny w boju i osadzony w Cytadeli — następnie zesłany na Ural zostaje tam pracownikiem w aptece, w którymś z tamtejszych miast. Pamięć o nim zaginęła. W klasie III-ej pozostałem na rok 2-gi, gdyż słaby byłem w algebrze, koledzy moi jak Przewóski, Zanurzyński poszli *) wyżej.

Piszą nam z Siedlec, że w Gimnazjum tamtejszem, po odbyciu właściwych examinów, z dniem 15 b. m. zamknięto rok szkolny. Na examinach rocznych odbywanych klasami, znajdowali się Duchowni miejscowi, tudzież Rodzice uczącej się młodzieży, i mieli sposobność przekonać się tak o gorliwości Nauczycieli, jak i postępowaniu uczniów. Z liczby 416 uczniów, zapisanych z początkiem roku do Gimnazjum, otrzymało promocję do klas wyższych 197, a mianowicie z klasy I, 60; z klasy II, 40; z klasy III, 27; z klasy IV, po odbyciu examinu indywidualnego, otrzymało świadectwo uzdolnienia do słuchania nauk w klassach wyższych 36; z klasy V, 19; z klasy VI, 15; klasa VII w roku bieżącym szkolnym, otworzoną nie była. Z pomiędzy promowanych, za wzorowe sprawowanie i celujący postęp w naukach, otrzymali *nagrody ogólne*: z klasy I, Sobiczewski Juljan, Przegaliński Edward; z kl: II, Skubiszewski Ignacy, Grodzki Władysław; z kl: III, Xiężopolski Józef, Roszkowski Alexander; z kl: IV, Engelhardt Alexander, Wyczałkowski Włodzimierz; z kl: V, Żukowski Franciszek, Turczyński Stanisław; z kl: VI, Wyziński Felix. Za wzorowe sprawowanie i odznaczający się postęp w naukach filologiczno-historycznych lub fizyko matematycznych, otrzymali *nagrody szczególne*: z klasy I, Maresch Ignacy, Sawicki Konstanty, Holder-Eger Teodor, Ponikwicki Władysław; z kl: II, Bereza Stanisław, Rzewuski Alexander, Ruciński Czesław; z kl: III, Skorupski Łukasz, Bałkowiec Eljasz, Skwarski Władysław; z kl: IV; Wyszomierski Antoni, Szaniawski Jan, Hejdukowski Zdzisław; z kl: V, Buszkowski

*) Kurjer Warszawski r. 1863.

Jan, Branik Juljan, Pleszyński Józef, Wychowski Bolesław. Oprócz powyższych uczniów zasłużyli na nagrody szczególne z klasy V, Fałęcki Stanisław i Karpowicz Florentyn; gdy wszakże zakreślona jest liczba nagród w każdej klasie, przeto w myśl rozporządzenia Władzy Edukacyjnej, obu tym uczniom udzielono zasłużoną pochwałę. (Z prawdziwą przyjemnością *Kurjer* zamieszcza w kolumnach swoich imiona celujących uczniów Gimnazjum Siedleckiego, w nadziei, że wszyscy ci młodzieńcy, ukończywszy kiedyś nauki, staną się chlubą szkoły, którą opuszczają, i przyniosą pożytek społeczeństwu, do którego wejdą)."

Stancję ojciec nam zmienił; byliśmy umieszczeni z bratem Ludwikiem u pp. Heryngów-Wodanowskich. On archiwista akt dawnych, zacna dusza — ona kilkanaście lat od niego starsza, zazdrosna o czterdziestokilkoletniego swego męża, robiła mu ciągle sceny małżeńskie. Państwu Heryngom zarekwirowano część mieszkania dla rosyjskiego wojska, więc ojciec ulokował nas na stacji u pp. Łopuskich. Łopuski, nauczyciel języka francuskiego, emigrant do Francji z powstania poznańskiego 1848 r. Człowiek niezły, ale dość ograniczony. Na stacji było nas 5-ciu, 6-ty Nagórski i kuzyn Łopuskiego, później zdolny inżynier, ojciec 3-ch bardzo zdolnych synów, przygotowywał się wówczas do I-ej czy II-ej klasy gimnazjalnej.

Wybitnym chłopcem na tej stacji był Męczkowski, natura skryta, energiczna i stanowcza; skończył medycynę w Warszawie i odgrywał wybitną rolę w zarządzie m. Warszawy; liczono się z nim bardzo i poważano go.

Jako IV-o klasista postanowiłem uczyć się pilnie, tem więcej, że czekał nas egzamin z 4-ch klas; historia, literatura były moimi ulubionymi przedmiotami; najslabszy byłem w matematyce, ale i wykład tych przedmiotów był marny. Algebrę wykladał Krzywicki, faworyzujący swoich elewów, a trzymał kilku na stacji. Nauczycielem geometrii był Nawrocki, który miał brzydki zwyczaj przeklinania uczniów. Pamiętam zabawny epizod. „Wyrwał” do lekcji kolegę Michałowskiego, „elewa” Krzywickiego. Michałow-

ski z geometrii nic nie umiał, a trzeba mu było dać dobry stopień — tak wypadło z polityki. Michałowski, tak zwany Fajuś, wychodzi do tablicy i szepce swojemu koledze z pierwszej ławki, żeby mu podpowiadał. Nie było to bardzo trudne, bo Nawrocki był przygłuchy; Michałowski staje przy tablicy zalekniony, a kolega szepce mu „wyciągnij pytanie”; ten powtarza zwracając się do Nawrockiego „wyciągnij pytanie”. Nawrocki klnie „wiesz, cholera, psiakrew, ja mu będę wyciągał pytanie”, wreszcie dodawszy jeszcze jakiś epitet wyciąga mu karteczkę. Pytanie było o trójkątach prostokątnych, a Fajuś nie wie co z tym fantem robić, kolega podpowiada mu „narysuj figurkę”, a ten powtarza, zwracając się do nauczyciela „naisuj figurkę” (biedak litery *r* nie wymawiał); klasa w śmiech a Nawrocki przybiega do nieszczęsnego z zaciśniętymi pięściami i napół szepcąc wymyśla: „ty hyclu, psiakrew, ja ci będę rysował figurkę”, ale rysuje i w taki sposób odbył się egzamin.

Języka polskiego uczył Berliński — Berkiem przewany, choć nic wspólnego z żydowinem nie miał. Nauczył nas wiele i wszczepił zamiłowanie do ojczystego języka; musieliśmy się dużo uczyć na pamięć, nietylko wierszy ale i prozy, np. przemówień przy otwarciu sejmu kaznodziei Woronicza i Piotra Skargi.

Rektorem po Palickim był Dębicki, wielka powaga i rygorzysta, dobry polak. Ojciec nasz nieraz, przyjechawszy do Siedlec, odwiedzał go i wysoką o nim miał opinię. Rosyjskiego już musieliśmy się uczyć; jak się nazywał nowy nauczyciel tego języka — nie pamiętam.

Wróciwszy po wakacjach do klasy piątej, ulokowany z młodszym moim bratem Antonim na stacji ponownie u pp. Heryngów, odczułem brak mego brata Ludwika, którego ojciec mój przeniósł do Piotrkowa, gdzie mianowany był rektorem czcigodny nasz i nieodżałowany Dębicki.

Gimnazjum Siedleckie zamienione zostało na „Ruskuju Siedleckuju Gimnazju”, nasi nauczyciele z IV-ej klasy poszli w „odstawkę”, a na ich miejsce napłynęli „istinno ruskije ludi” z Chełmszczyzny i Podlasia, utworzono od-

dzielny okręg szkolny, dyrektorem był Kryżanowski, wybitny polakożerca. Inspektorem szkoły siedleckiej kazano być Abramowiczowi, człowiekowi bez wychowania; mówiono, że poprzednio pełnił obowiązki kucharza u Ministra Wojny.

Zaczęły się czasy rugów i prześladowań, wielu kolegów naszych, zwłaszcza z kresów wschodnich, wyrzucono ze szkoły; poszli precz bracia Moczulscy, 3-ch braci Wyganowskich i wielu, wielu innych; wypędzono Szymona Konarskiego, prawdopodobnie za to, że nosił nazwisko i imię straconego w 1834 roku w Wilnie męczennika.

Rok ten był dla mnie stracony; ojciec nasz, którego tak bardzo kochałem, zmarł nam, pozostawiając nas 8-ro sierot. W szkole było zamieszanie, jakby dziś powiedziano „bałagan“, lekcji było po 2 lub 3 dziennie, wykłady w obcym, niezrozumiałym języku, wychowywano nas na konspiratorów i wszczepiano w nas jad nienawiści. Zboleły po stracie ojca uczyć się nie mogłem; dobierałem się do książek i bez wyboru czytałem. Zostałem na drugi rok w klasie V-ej, czem matkę moją boleśnie zmartwiłem.

Po powrocie z wakacji pracowałem bardzo usilnie i byłem jednym z lepszych uczniów; należałem do tych niewielu, z których Domański, grek, był zadowolony.

Historję i literaturę powtarzałem i uzupełniałem po wykładzie dyrektora Stefanowicza, Ohrymowicza oraz Solskiego; dzieje kościoła były wykładane po rosyjsku przez ks. Strusa, które również przerabiałem. Czytałem bardzo dużo, szczególnie wczytywałem się w poezję w przekładach rosyjskich; z rosyjskich poetów poznałem bliżej Puszkina, Lermontowa, Gogola. Gorzej było ze swoimi poetami, bo musieliśmy się kryć, gdyż po stancjach robiono rewizje, a za znalezione polskie książki wydalało bez pardonu. Naszych poetów, historję naszego narodu, czytywaliśmy podczas świąt i letnich wakacji — naturalnie nie wszyscy.

W tym roku szkolnym, o ile pamiętam w m. marcu, stracony był w Sokołowie ks. Brzóska, ostatni powstaniec. Ks. Brzóska miał partję złożoną z kilkunastu straceńców,

na czele których z krzyżem w ręku napadał na oddziały kozackie, kilkakrotnie nieraz liczniejsze, najczęściej do bitwy nie dopuszczał, żegnał tylko krzyżem świętym, a kozacy uciekali ze słowami „hospodi pomiluj”. Wreszcie schwytany i na szubienicy powieszony. Drzewo szubienicy na kawałki podzielono i jako relikwje przechowywano. Po wakacjach trzeba się było wziąć do pracy, jak nakazywała ambicja, no i chęć wiedzy..

Dyrektorem gimnazjum był Stefanowicz, fanatyk lub odgrywający rolę fanatyka, rosjanin, prawosławny, i wykładający historję powszechną. Abramowicz wykładał historję Rosji w niższych klasach oraz język rosyjski, matematykę — Czarnocki, Solski — literaturę powszechną, przyrodę — Ilczenko w klasach niższych, w wyższych tego przedmiotu nie uczono. Trzej pierwsi byli to moskale, trzej następni mówili o sobie, że są małorosy, kończyli uniwersytet w Kijowie. Następny komplet: Siemienowicz wykładał łacinę, Domański — język grecki, Trusiewicz — fizykę. Ci przybyli z Galicji, prawdopodobnie z uniwersytetu Lwowskiego. Języka polskiego wykładał Łopaciński, również wychowaniec uniwersytetu Lwowskiego.

Rząd carski powołał tę kolekcję na stanowiska nauczycieli „abrusitielej”, wysławszy ich na rok do Petersburga. Tam mieli się wydoskonalić w języku rosyjskim i przyjęli prawosławie. To drugie poszło gładko, przyswojenie sobie języka rosyjskiego było zadaniem trudniejszym. Najniżej pod względem etyczno-moralnym stał grek Domański; głosił on otwarcie i szczerze śpiewnym lwowskim akcentem „za pieniądze pop się modli, za pieniądze ludzie podli”. Indywiduum to gnębiło młodzież w straszny sposób, zadając nieraz z lekcji na lekcję po 60 wierszy z Iljady czy Odyssei na pamięć. Z gramatyki greckiej trzeba mu było powiedzieć „prawilo”, zacytować przykład, oraz wymienić stronicę w podręczniku „kūnera”, na której stronicy pomieszczone jest to „prawilo”. Siemionowicz był mniej wymagający, trzeba przyznać, że uczył dobrze i dużo korzystaliśmy z łaciny. Trusiewicz nie miał pojęcia o fizyce,

a mówił tak haniebnie po rosyjsku, że nic go nie rozumieliśmy, i on sam się, przypuszczam, nie rozumiał. Łopaciński chciałby może czego nauczyć, ale program V-ej klasy języka polskiego zasadzał się na tłumaczeniu polskiego na rosyjski. W VI-ej klasie wykładał naturalnie w języku rosyjskim literaturę polską, ale mu tylko było wolno dojść do Reja. O pieśni „Boga Rodzica” z całym pietyzmem prowadził wykład przez półtora miesiąca.

Nieznajomość języka rosyjskiego wzbudzała nieraz w VI-to klasistach śmiech homeryczny, a zdolny bardzo intelektualnie Zygmunt Zanorzyński napisał satyrę sceniczną i tak trafnie scharakteryzował tych galicjan nauczycieli, ich nałogi i ich język — mieszaninę różnych słowiańskich języków i narzeczy, żeśmy się pokładali ze śmiechu. Krążyły te utwory między młodzieżą szkolną, aż dostały się do rąk władzy szkolnej. Zanorzyński dostał „wołczyj” bilet i zmarnował się, oplakiwany przez starą matkę i bardzo żalowany przez kolegów.

Jako drugoletni V-to klasista kolegowałem z zacnym, kochanym Leonem Szeliskim, w przyszłości założycielem Syndykatu Rolniczego Siedleckiego, w następstwie radcą Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Warszawie, z Adamem Szymańskim, Michałem Łęczycką. Łęczycka pochodził z Trzebieszowa, naszej parafji, obdarzony z natury ogromnymi zdolnościami, w szkole po kolei brał złe stopnie i nie wiedział nigdy co zadane na lekcje, na egzaminie z piątej klasy do szóstej zdaje ze wszystkich przedmiotów na stopnie celujące, z matematyki miał dostateczne, zadziwia swoją erudycją i specjalną znajomością języków starożytnych, czyta wszystkich łacińskich i greckich autorów ex abrupto, trzyma przed sobą książkę, ale mówi przeważnie wszystko z pamięci. W VI-ej klasie prowadzi tę samą politykę, „wrywany” do lekcji odpowiada „nie znam” i siada w ławce (ostatniej) i uczy się. Przyswaja sobie wszystkie nowożytne języki, — a dalej sanskryt oraz hebrajski. Na egzaminie do klasy VII-ej obcina się z matematyki, pozostawiony na rok drugi obcina się powtórnie.

Ks. proboszcz nie wie co z nim robić, na moją zrobioną uwagę, aby go wysłał na uniwersytet do Krakowa, robi gest, że nie ma za co. Łęczycka siedzi na wikarjacie w Trzebieszowie i pisze historję cywilizacji w Polsce, — co on z tem zrobił, nie wiem.

Oddany do seminarjum w Warszawie zostaje po 4-ch latach księdzem, pełni obowiązki wikarego w Łodzi, jako posiadający gruntownie język niemiecki. Od wielu lat siedzi na maleńkiej parafji w Rawskim, lubiany i szanowany przez parafjan abnegat-pustelnik.

Wkrótce moja osoba miała dostać „wołczyj bilet” za „niebłagonadiożność”. Jeszcze w początkach roku klasy VI-ej zrobiono zamach ze strony moskali na nasze religijne uczucia; chciano nas zmusić do uczęszczania na nabożeństwa prawosławne oraz chciano skasować nam nasze katolickie święta. Postanowiliśmy się bezwzględnie temu oprzeć. Nie chcąc angażować VII-o klasistów, aby im nie przeszkodzić w ukończeniu gimnazjum, nas 6-ciu uczniów klasy VI-ej, cofamy młodzież, stanąwszy na rogach ulic w drugi dzień Zielonych Świąt, aby uniemożliwić wykłady.

Na drugi dzień dyrektor Stefanowicz pozostawia nas w kozie; mnie Stefanowicz zaprosił do siebie do mieszkania, przyniósł mi książkę, przekład z niemieckiego jakiegoś tam ex-abata o jezuitach. W pół godziny przychodzi do mnie z zapytaniem jak mi się ta książka podoba; ja ją naturalnie skwapliwie przejrzałem, ale na zapytanie odpowiadam, że nie czytałem książki; dlaczego, pyta się dyrektor, —bo nie dojrzałem na niej cenzury kościelnej, powiadam, a nam takich książek czytać nie wolno”. Skrzywił się trochę na to i zapytał mnie, czy ja zabrałem książkę przeznaczoną mi na nagrodę z klasy V-ej do VI-ej; odpowiedziałem mu, że książki nie zabrałem, gdyż w domu naszym z książką rosyjską kryćbym się musiał, a zresztą nie dla nagrody się ucze, lecz abym coś umiał.

To śmiało moje tłumaczenie się nie zraziło moskala i w następstwie, kiedy wygłaszałem śmiało swoje opinie, prowokowany i oskarżany przez moich szkolnych kolegów

Gromekę, syna gubernatora, oraz Siemionowicza, brata nauczyciela łaciny, zniecierpliwiony, że nauczyciel greckiego, u którego dotychczas byłem celującym uczniem, ostentacyjnie stawia mi pałki, rzucam mu książki pod nogi i wychodzę z klasy, bardzo wzburzony wpadam do dyrektora Stefanowicza i całą mu rzecz przedstawiam. Stefanowicz każe mi iść do domu i czekać na zawiadomienie szkolne. Trzeciego dnia przed lekcją Stefanowicza przychodzę do szkoły, a kiedy ten wchodzi, zbliża się do mnie i zapytuje, czy ja wiem co mnie miało spotkać, odpowiadam, że nie wiem. „Pan, mówi, miał dostać „wołczyj bilet“, ale zawdzięczając niektórym swoim nauczycielom może pan dalej chodzić do szkoły“. Kłaniam się panu dyrektorowi i mówię, że przede wszystkim dziękuję jemu, następnie idę z podziękowaniem po lekcjach do nauczycieli Kijowlan.

Skończyło się na tem, że opisano mnie w tak zwanej czarnej księdze i dawano do końca roku złe stopnie ze sprawowania, a kiedy przyszedł egzamin z 6-ciu klas do klasy VII-ej, specjalnie byłem w opalach, ale się nie dałem, na 48 uczni 8 nas Polaków zdało do klasy VII-ej oraz dwóch rosjan Gromeka i Siemionowicz.

Wyjąłem natychmiast swoje papiery i 17-letni chłopiec, pomimo opozycji ze strony mojej matki, przenieśliem się do Warszawy do IV-go gimnazjum, gdzie dyrektorem był zacny, poczciwy i kochany Pankiewicz.

STANCJA P. KRYCKIEJ (1882—1888)

W 1882 roku rodzice umieścili mnie i mego starszego brata Józefa na stacji uczniowskiej pani Kryckiej, na ulicy Pięknej, w domu pana Józefa Kryckiego; o numerach domów wtedy mówili albo w Hipotece, albo w Magistracie; stacja nasza mieściła się w podwórku, w domu drewnianym; wchodziło się na podwórko przez bramę drewnianą; obok tej bramy stały 2 domy, w jednym mieszkał czapnik Grünfarb, w drugim zegarmistrz Bursztyn, z pewną zazdrością patrzeliśmy niejednokrotnie na „wystawę” w oknie albo czapnika albo zegarmistra.

Przytoczę tu jeden szczegół bardzo mnie kiedyś obchodzący: kiedy w sierpniu 1882 r. w sali dużej zwanej podówczas „zbornej” w gmachu obecnego gimnazjum im. Hetmana Żółkiewskiego, usłyszałem wyczytane przez profesora Solskiego, moje imię i nazwisko, jako przyjętego po złożeniu egzaminów do 1-ej klasy gimnazjum Siedleckiego, w tej chwili wybiegłem z gmachu i w tę pędę do pani Kryckiej, aby mi czapkę uczniowską kupiła; staruszka się trochę sprzeczała, ale gdy zaręczyłem jej słowem honoru, (miałem wtedy 11 lat), że do gimnazjum zostałem przyjęty i że rodzice zwrócą zapłaconą za czapkę wielką podówczas dla mnie sumę 1 r. 20 kop., poszła ze mną do Grünfarba, kupiła mi czapkę, z której ogromnie byłem dumny i prawie ani na chwilę się nie rozstawałem.

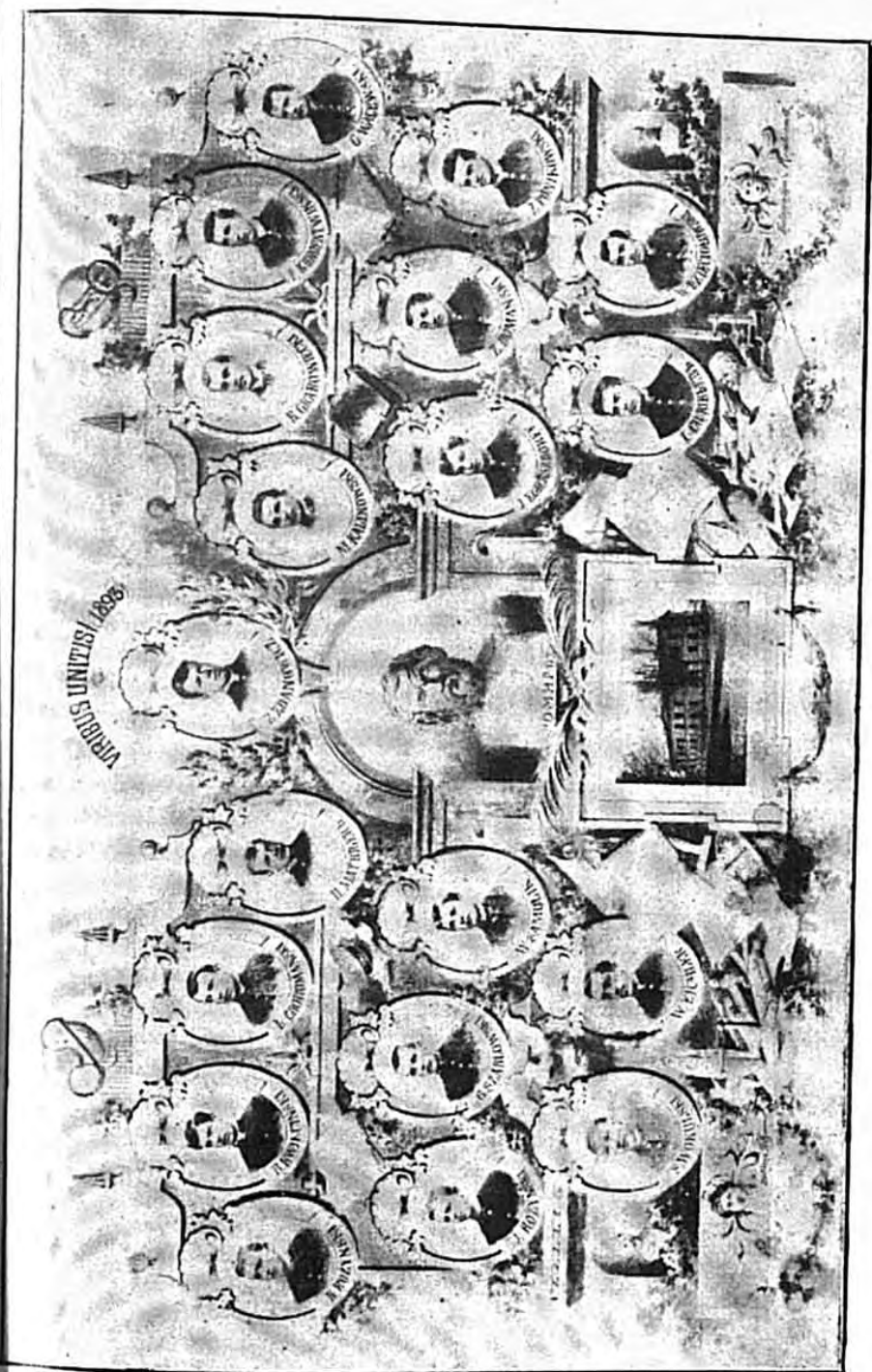
Będąc więc w I-szej klasie mieszkałem na stacji u tejże pani Kryckiej; była to stacja najtańsza i dużo mło-

dzieży z rodzin mniej zamożnych mogło kształcić się w szkołach. Jednocześnie ze mną mieszkali u p. Kryckiej; brat mój Józef ucz. III klasy († 1912 r. w Krakowie), Bronisław Dmowski IV kl. mieszka pod Siedlcami, Franciszek Olszewski IV kl., Jan Szymański III kl., — co się z nimi dzieje nie wiem, Melchior Zaleski III kl. i brat jego Marjan w kl. wstępnej (obaj zmarli 1883 roku), Jan Polak I kl. — obecnie pracuje w sądownictwie, Jan Boguszewski i Stanisław Moczulski, obaj z kl. wstępnej, — co się z nimi dzieje niewiadomo.

Uczyliśmy się zaledwie dostatecznie, bawiliśmy się za to dobrze, a grając w piłkę na podwórku robiliśmy tyle hałasu, że bardzo często ktoś z ulicy skręcał w naszą bramę zobaczyć, co się dzieje, a jeżeli czasami dostał piłką „mocną bańkę“, ma się rozumieć „niechący“, — to przeprosiło się gościa i zabawa szła dalej z tem samym ożywieniem. Czasami trafiało się, że ktoś nieuważny piłką uderzył i stłukł szybę; była to rzecz niemiła, szczególnie, gdy ojciec przyjeżdżał, to przy płaceniu za szybę nie obyło się bez „pewnej“ przykrości dla nieuważnego gracza; ale po chwilowej nieprzyjemności nie myślało się później o tem.

Każdy z nas miał „conto“ otwarte u pani Kryckiej i biurowość cała mieściła się w książce specjalnej, buchalterem i sekretarzem w jednej osobie był zwykle najstarszy z kolegów, a w 1882 r. Franciszek Olszewski. Księgowanie odbywało się zwykle w sobotę i bywało nieraz bardzo burzliwe, połączone czasami z płaczem właściciela konta; każdy bowiem obawiał się „niemiłych komplikacji“, gdy ojciec przyjedzie i będzie regulował rachunki. Ale pomimo to trafiały się nadużycia, których jednak nawet zdolny detektyw wykryć nie był w możności; trafiało się to, gdy starsi nie mieli pieniędzy na papierosy u „Motla“ papierośnika w pobliżu, albo młodszy, gdy chcieli sobie kupić śliwek lub pestek z bani.

Korzystano wtedy ze zwyczaju, że każdy z nas musiał kolejno kupić bańkę nafty, przynieść, nalać do lampy i lam-



Maturzyńcy r. 1898

R. Różynski, B. Kwieciński, L. Choromański, P. Matwiejew, Z. Zdanowicz, M. Kalinowski, B. Grabowiecki, F. Kuropatwinski, J. Walewski,
 J. Różynski, G. Szablowski, W. Samulik, J. Egtersdorff, Z. Domański, Z. Ponkowski, S. Wokulski, W. Eichler, S. Solowjow i W. Dzięciołowski.

dostałem poprawkę powakacyjną z historii. Komisję egzaminacyjną składali: Liwotow, Zawitniewicz i trzeci, którego nazwiska nie pamiętam. Męczyli mię 20 minut. W końcu Liwotow z szyderczo-ironicznym uśmiechem kazał mi opowiadać o dziejach Polski „które przecież Pan znakomicie posiadasz” dodał. To było formalne znęcanie się nademną. Dzisiaj żałuję, że czynnie nie zareagowałem. Ale wówczas nie zdobyłbym się na to.

Stopień dostałem niedostateczny, a że byłem drugi rok w klasie wydalono mię. Koledzy mi współczuli, a ja w głębi duszy czułem się tak, jak człowiek, któremu nieoczekiwanie okrutny ciężar spadł z piersi. Z przekleństwem opuściłem mury szkolne i poszedłem w świat.

Zaremby Kościelne, w grudniu 1925 r.